

ROLA

Rok VII.
Kraków, dnia 5 stycznia 1913 r.
Nr. 1.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy: do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Z Nowym Rokiem.

Uderzyły dzwony echem w niebiosy,
Grzmiąc o północy, dzieląc dwojga losy:
Roku starego i roku nowego,
Ginąc w falach czasu bezpowrotnego...
Przeszłości bezdenna, wieczności bez końca,
Jako Bóg niezmierna, jako koło słońca!

A my maluczcy w tym czasie stworzeni,
Ludzie z początkiem, w końcu policzeni...
Płyniesz jak rzeka niezatartym śladem,
Bóg cię nie wstrzyma, ani anioł żaden.
Tyś jako przestrzeń bezgraniczna w Bogu,
Na ludzkim nigdy, nigdy nie pojęta progu...

Zali przynosisz nam łzy, lub uciechy
Z krainy marzeń o roku nasz drogi!?
Zaliś wybrany, lub brzemienny w grzechy,
Które zadają nam cios wielce srogi?!...
Biegniesz jak chwilka, utoniesz w wieczności,
A Bóg sam jeden jest pełen miłości.

Czy nam przynosisz nadzieję, zwątpienie
W szeregi nasze polskiego narodu,
Czy hasłem Twojem: „Polski odrodzenie!“
Niesiesz przez niwy z rajskiego ogrodu
Tej biednej Polsce, skutej kajdanami,
Oczekującej wolności ze łzami?!...

Cokolwiek w twojej księdze zapisane
Wszechmocną ręką Boga przedwiecznego,
Co jest od wieków ludziom przekazane,
Wszelkie dzieje rodzaju ludzkiego —
My wśród rozterki, orząc ziemię pługi,
Wierzym, że przyjdzie jeszcze „Grunwald“ drugi...

Wszystko ząb czasu i niszczy i rodzi;
Sam zawsze młody, choć zmienia, niezmienny.
Niechże nam teraz złą dolę osłodzi
Nowy Rok lepszy, w nadzieję brzemienny;
A Tobie Boże na wieki cześć, chwała,
Co nam Twa wielka Dobrotliwość dała!

Adam Jesionek.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

8. WILCZE DOŁY.

Do Wilczych Dołów. — Odpoczynek powstańców. — Znowu Jan, przemytnik. — Uciążliwa przeprawa. — Schronienie w wiklinie.

Sylwester-Wiktor przerwał moje słowa, wlepił we mnie swe wielkie, melancholijne, głębokie i rozumne oczy i rzekł tonem poważnym i surowym:

— Tu w tej sprawie wcale nie idzie o ciebie, ani też o twoich ludzi, ale generała Bosaka. Wiesz dobrze, jaką wagę Rząd Narodowy przywiązuje do niego i wszyscy zresztą mamy to przekonanie, że on jeden, on tylko jeden potrafi ocalić upadającą sprawę polską. Idzie więc o to, żeby szczęśliwie, cało i zdrowo dostał się do kraju, o to idzie.. a nie o ciebie i twoich ludzi...

Miał zupełną słuszność i umilkłem zawstydzony, on zaś rozpocząwszy znów swe przechadzki po izbie, ciągnął dalej:

— Z tem wszystkiem byłoby najlepiej, żeby i generała i trzydziestu kilku zuchów dla ojczyzny ocalić. Czy tak, czy owak, trzeba, żeby ktoś dostał się na brzeg przeciwny i generała o wszystkiem uwiadomił. Czy nie masz kogo w swym plutonie, któryby dobrze pływał, bo trzeba rzekę wpław przebyć, i miał odwagę narazić się na śmierć prawie niechybną...

— Tacy się znajdą — odparłem — ale sądzę, że najlepiej byłoby, gdyby tego dokonał przemytnik Jan.

— Tak... to prawda... ale cóż, kiedy go niema.

— Wyjdźmy stąd — rzekłem — za długo tu siedzimy. Muszę zobaczyć moich ludzi, może oni co wiedzą o Janie.

— Ha! chodźmy. Ale dam ci jeszcze jedną radę, poruczniku. Zbierz twoich ludzi i cichaczem, wikliną, pomaszeruj o trzy kilometry stąd do miejscowości zwanej Wilcze Doły. W rzeczy samej są tam doły, w których możesz się dobrze ze swym plutonem ukryć Tu nie możesz pozostać. Za kilka godzin kapitan żandarmów będzie miał z Warszawy odpowiedź i może was wszystkich wyłapać, albo zmusić do stoczenia bezużytecznej i rozpaczliwej walki o życie. Tymczasem tam, w Wilczych Dołach, możesz być bezpieczny. Tam straże nawet rzadko zaglądają, bo rzeka w tem miejcu jest bardzo głęboka i przemytnicy nigdy tam nie próbują przeprawy.

— Ale ja nie wiem, gdzie są te Wilcze Doły, a przytem, jeżeli generał tu się przeprawi...

— Jeżeli nic się nie zmieni do nocy, to wieczorem wrócisz tutaj, ale teraz się ukryj, bo możesz zginąć i całą sprawę zaprzepaścić. Chodźmy, ja cię przeprowadzę do Wilczych Dołów. Znam tę okolicę jak własną kieszeń.

Opuściliśmy więc chałupę przemytnika, w której, w ciągu paru niespełna godzin, rozegrały się jedne z najdramatyczniejszych scen mego życia. Na dworze było wietrzno i chłodno. Słońce, duże, nieco zamglone, oświecało przedemną gęstwinę krzaków wszelkiego rodzaju, przeważnie jednak wikliny, poza którą, gdzieś w dali, widać było srebrzystą taflę rzeki. Wiatr znów się zerwał i szalał z przeciągłym jękiem i trzaskiem, wśród tego gąszczu Nad nim unosiła się gromada wron i białe rybitwy gromadami.

Z trudnością zdołaliśmy odszukać moich ludzi. Leżeli oni gromadkami po najnieprzystępniejszych miejscach krzaków i otuleni w swe świtki chłopskie, drzemali snem niespokojnym i nerwowym, tak dobrze mi znanym w tej wojnie dziwnej i krwawej. Na szczęście natrafiliśmy na jednego z pierwszych na wachmistrza Burczymuchę i Karola Laskonogiego. Siedzieli pod starą wierzbą, na pół połamaną i na szelest naszych kroków zerwali się, chwytając za rewolwery.

— Co słychać? — spytałem szeptem — bo wiatr, wiejący od rzeki, mógł zanieść nasz głos tam, gdzie nie potrzeba.

— Jak dotąd, mopanku, panie poruczniku, nic — odrzekł wachmistrz — ale muszę powiedzieć, że tu miejsce nie jest zbyt bezpieczne. Żandarmi kręcą się dokoła... Przytem ten zbój, co mu tak źle z oczów patrzy, Jan, powiada...

— Jak to? Jan jest tu? — zapytałem.

— A jest. Rekruci capnęli go, jak smyrgał przez wikline i nie wiedząc, co on zacz, przytrzymali. Ja też, mopanku, prawdę rzekłszy, kazałem go mieć na oku, bo dyabeł nie śpi...

— O, tak! — szepnął Karol swym dyszkantem — nieszczęście jest jak miłość, przychodzi niespodzianie!

— Milczeć tam w szeregu! — syknął wachmistrz.

— Przyprowadź tu tego Jana! — rozkazałem.

— Za pozwoleniem, panie poruczniku — wtrącił Sylwester — możeby było dobrze wprzód dowiedzieć się od tych dzielnych zuchów, co im Jan powiedział.

— A cóż, mopanku, powiadał! Co taki zbój i cywilus może mądrego powiedzieć? Gadał, że generał Bosak nie tutaj się przeprawi, ale na wprost jekichś tam... dyabli wiedzą, jak się nazywa... Nie pamiętasz rekrucie Karolu?

— Wicze Doły! — jęknął Karol, pocierając sobie swój długi nos, który pod wpływem chłodnego wiatru przybrał kolor zielonawy.

— Tak, tak... Wilcze Doły. Psia nazwa, jakem wachmistrz pierwszego szwadronu drugiego pułku ułanów. Jak mi on to powiedział, tak ja mu rzeknę: zatracony cywilusie, a ty skąd o tem wiesz, mopanku? A stąd, peda, że Teresa... zdaje się, że się tak nazywa ta dama, którą te hycle żandarmy schwytali, wcale ładna kobietka, mówiąc między nami,..

— Do rzeczy, wachmistrzu! — zawołałem surowo, bo najprzód ciekawy byłem dalszej relacyi, a potem drażnił mnie bezceremonialny sposób mówienia starego wygi-żołnierza, o tej ślicznej i dumnej kobiecie.

— Wedle rozkazania, panie poruczniku, wszystko się powie. Peda mi tedy skurczybut Jan, że Teresa, owa dama, spostrzegłszy, że tu, w tej stronie, bardzo się kręcą żandarmy, poszła nad rzekę i dała umówiony znak, że tu przeprawić się nie można, tylko, mopanku, w tych psich dołach... I właśnie wtedy tę dzielna damę te hycle żandarmy złapali...

— A więc wszystko jest dobrze — szepnął Sylwester — teraz należy...

Przerwałem mu, bo wiedziałem już co robić należy. Rozkazałem więc:

— Karol sprowadzi tu zaraz Jana. Wachmistrz nieznacznie zgromadzi wszystkich ludzi i zapowie im, by się mieli do drogi. Ruszajcie!

— Zaraz się zrobi wedle rozkazania!

Obadwaj znikli i w kilka minut potem stanął przedemną Jan nadzwyczajnie zaniepokojony, dygocący ze strachu czy z zimna, oglądający się dokoła trwożliwie, łykający swemi złemi ślepiami. Potwierdził on słowa wachmistrza i głosem drżącym zaklinał mnie, bym go puścić kazał, bo zapewniał, że lada chwila mogą tu spaść żandarmi, złapią go i powieszą jak psa. O mnie, o moich zuchów, o panią Teresę wcale mu nie szło, tylko o siebie.

— Puścić cię nie mogę — rzekłem — jesteś mi potrzebny.

— Tak! — wtrącił Sylwester i biorąc mnie pod rękę, odprowadził na stronę i szepnął po francusku:

— Niech Jan poprowadzi was do Wilczych Dołów, ja tu zostanę i będę się starał wywiedzieć, co porabia kapitan karabinierów. Moja obecność tu taj jest konieczną. Idźcie i śpieszcie się.

Zgodziłem się na to i zaraz pod przewodnictwem Jana wyruszyliśmy ku owym Wilczym Dołom. Że nas przemytnik dobrze przeprowadzi, nie wątpiłem ani na chwilę; jego dbałość o własną skórę była najlepszą gwarancyą. To też wiódł nas wśród takiego gąszczu, po takich przepaścistych dziurach i grzązkiem błocie, t. zw. »madzie«, pozostałej po wylewach rzeki, że przybyliśmy do Wilczych Dołów, co prawda przez nikogo niepostrzeżeni i cali, ale tak ubabrani i brudni, że mimowoli śmiech brał patrząc na siebie wzajemnie.

— Niech ciebie, mopanku, kule biją — prawił wachmistrz — a toś nas ubrał, psi synku. Wartoby ciebie wsadzić łbem na dół, mopanku, w tę twoją madę, żebyś miał równie czarną gębę, jak masz czarną duszę.

— Przebóg! — deklamował Karol Laskonogi — gdyby mnie w tym stroju i w tym brudzie zobaczyła najpiękniejsza z Polek, której me serce oddałem...

— Phi! — przerwał mu wachmistrz — nie pleółbyś głupstw, rekrucie, twoja najpiękniejsza z Polek trochę zezem patrzy, toby się jej zdawało, że nie masz na sobie błota, tylko koronki lub aksamit.

Jan słuchał tego wszystkiego w milczeniu, tylko od czasu do czasu zwracał się do mnie swym skradającym się, kocim ruchem i szeptał:

— Niech im pan porucznik każe, z przeproszeniem, stulić gęby; bo tutaj jest niebezpiecznie głośno gadać, a po wiklinie głos się rozchodzi nikiej po kościele.

Nakazałem więc surowo milczenie i dzięki przezorności Jana, przybyliśmy nakoniec szczęśliwie do Wilczych Dołów.

Była to w rzeczy samej taka przepaścista dziura, tak dobrze ukryta i osłoniona, że można było sto razy koło niej przejść i nie wiedzieć o jej istnieniu. Brzeg w tem miejscu wznosił się wysoko, i w tej górze, bardzo stromo spadającej ku rzece, woda zrobiła głęboką wyrwę, tworząc rodzaj jaskini wilgotnej i błotnej, ale zewnątrz tak osłonionej wikliną i wierzbami, że kto jej nie znał, mie mógłby nawet przypuścić, że tam jest dla przemytników i takich, jak my, straceńców, wyborne schronienie. Mówię wyborne, ale nie trzeba brać tego w dosłownem znaczeniu. Mogliśmy tu niewątpliwie dzień, dwa nawet, bezpiecznie przesiedzieć bez obawy spotkania się ze stroną nieprzyjacielską, ale żeby ten pobyt miał być przyjemny i miły, tego niepodobna powiedzieć. — Grunt schroniska był grzazki, ową miękką madą przesiąknięty, czuć tu było wilgoć i zimno. Wprawdzie w głębi Jan wskazał mi wiązkę przegniłej słomy, widocznie przez szwarcowników tu rzuconą, na której od biedy mogłem się położyć. ale ludzie nie mieli nic i musieli na błocie mieścić się.

Z tem wszystkiem nie zważałem na to. Miejsce było względnie bezpieczne, a to w tej chwili było rzeczą najważniejszą. Obejrzałem dokładnie miejscowość. Od wejścia nikt nas nie mógł zaskoczyć, gdyż stromy brzeg przytykał tuż do samej rzeki, strażnicy patrolujący schodzić tu nie mogli i jeżeli to tylko górą, to jest nad nami. Rzeka w tem miejscu, wciśnięta między dwa górzyste brzegi, miała koryto znacznie zwężone, ale za to prąd bystrzejszy. Obejrzawszy to wszystko, skinąłem na Jana, i gdy zbliżył się do mnie, spytałem:

Więc w tem miejscu generał przeprawi się?

— Tak.

— A skądże ty wiesz o tem?

— Bo Teresa dała im... tam... na drugim brzegu, znak.

— I oni zrozumieli ten znak?

— Oczywiście. dlaczegoż nie mieliby zrozumieć?

— A w jakiż sposób sama przeprawa nastąpi?

— W jakiżby? Generał wsiądzie na łódkę i tu przypłynie. Noc będzie ciemna, bo teraz księżyc nie świeci, to go nikt nie obaczy. Przypłynie po północku, gdy już strażnicy odbędą patrol i przez parę godzin będzie spokojnie.

— Ha! skoro tak powiadasz... zresztą, jak noc zapadnie, zobaczymy co robić — rzekłem — może trzeba będzie wysłać ciebie na tamten brzeg. Musisz tu mieć gdzie łódkę?

— Mam... ale ja nie popłynę, bo zaraz stąd odchodzę.

— A to czemu?

— Muszę się dowiedzieć, co się dzieje z Teresą.

Spojrzałem na niego zdziwiony tem nagłem zainteresowaniem się losem kobiety, którą sam naraził na niebezpieczeństwo i rzekłem:

— Najprzód nic się nie dowiesz, odesłano ją do miasta, a tam cię do niej nie dopuszczą, po drugie, jesteś mi tu potrzebny, a po trzecie, nie trzeba było kobiety wysyłać na tak niebezpieczne zwiady.

— Albo to ja ją wysłałem!

— A któż?

— Ona sama poszła.

— Kłamiesz! Słyszałem przecież, jakeś jej rozkazywał.

— Co ja jej miałem rozkazywać! Ja jej nie rozkazywałem. To tak było umówione i tyle...

— Jak to umówione?

— Ano, że ja jej niby... na ten przykład... ostro rzeknę: idź, zobacz, co się tam na brzegu dzieje — i ona niby pójdzie. Ale ona i tak by poszła bez mego rozkazania.

Nic z tego wszystkiego nie rozumiałem, jak w ogóle nie rozumiałem stosunku, łączącego tego prostego, na pół dzikiego szwarcownika, z tak elegancką i wykwintną kobietą, jaką mi się wydawała pani Teresa.

— Czy to twoja żona? — spytałem.

— Ej, co tam za żona! — zawołał z razu, ale opamiętał się i zawołał prędko:

— A no tak.. żona... jakżeby inaczej! i dlatego ja muszę, panie poruczniku, iść.

— Nie; kochanku, nie pójdziesz! Zgoła jesteś tam niepotrzebny, a tutaj bez ciebie ja się nie obejdę.

Łysnął ślepiami, ale umilkł i otuliwszy się w swój kubrak, nacisnął czapkę na głowę i położył się w wiklinie na błocie spać. Ja tymczasem począłem rozmyślać nad tem, jak my tu cały dzień przepędzimy, a nadewszystko co będziemy jedli. Żołnierze moi od wczoraj nic w ustach nie mieli, a całonocna wędrówka i przygody tego poranku zaostrzyły apetyt. Ja sam byłem tak głodny, żebym konia zjadł z kopytami. Rozmyślałem więc nad tem, czyby nie było dobrze wysłać Jana po jaką żywność, ale zastanowiłem się, że gdy samego wyślę, to z pewnością więcej nie wróci; dodać mu zaś kogo z moich ludzi nie śmiałem, gdyż mogłem go narazić na śmierć lub niewolę. Nie wiedziałem co robić i biłem się z myślami, gdy nagle z głębi jamy wysunął się wachmistrz w towarzystwie Laskonogiego, dźwigając przed sobą coś ciężkiego.

— Co to takiego? — spytałem.

— Gorzałka, panie poruczniku, szwarcówka. Znaleźliśmy ją tam dobrze ukrytą, ale stary wachmistrz drugiego pułku ułanów umie szukać. He, he, he! Laskonogi również coś znalazł.

— No, co znalazł?

— Trochę kaszy i mąki. Cichaczem, mopanku, nagotujemy sobie zupy. Gorzałka jest, czegoż nam brakuje.

— Tylko ognia palić nie można.

— Niech się pan porucznik nie obawia, już ja rozpalę taki ogień, że dymu wcale nie będzie.

Jakoż zakręcił się, kazał swoim zuchom nazbierać suchych gałęzi, z których rozpalił maleńkie ognisko i w kociołkach, jakie miały ze sobą sekcye plutonu, ugotował nędznej co prawda zupy, ale która w tym stanie, w jakim znajdowaliśmy się, wydawała się wyborną, a mocna wódka uzupełniła to nielukulusowe śniadanie. Przywróciła ona dobre humory, rozjaśniła zasępione oblicza, ale rozdawana zbyt hojną dłonią wachmistrza, mogła wydać złe skutki. Zabrałem więc baryłkę pod swoją opiekę i nikomu już do niej zaglądać nie dałem. Tak przepędziliśmy ten smutny dzień, niczem nie niepokojeni. Schronienie było wyborne. (Ciąg dalszy nastąpi).

SERCE MATKI.

Zdarzyło się raz, że młodzian pokochał dziewczynę płochą i próżną, której przyśniło się raz, że zawsze będzie piękną i młodą, jeżeli jej się uda zamknąć w swej skrzynce serce matki, która wydała na świat rozkochanego w niej młodzieńca.

Młodzieniec był urodziwy, a ona kokietowała go swemi wdziękami, starając się jak najbardziej omotać go w swe sieci tak, żeby się z nich wydobyć nie mógł, co się jej też udało.

Raz, gdy młodzian przyszedł do niej, rzekła:

— Idź, zabij swą matkę, wydrzyj jej serce z łona i przynieś mi je tutaj!

Młodzinn spojrzał na nią ze zgrozą i odszedł. Powrócił jednak za dni kilka i znów usłyszał te same słowa:

— Idź, zabij swą matkę, wydrzyj jej serce z łona i przynieś mi je, ażebym ci wiecznie drogą, piekną i młodą była.

Młodzian wyrwał się od niej i uciekł. Ale znów przyszedł nazajutrz, i znów jęła go kusić dziewczyna.

— Nie, za nic, za nic! — odrzekł młedzieniec.

— Nie chcesz? a więc inny, który mię kocha, spełni moją pzośbę i będzie nadal jedynym oblubieńcem moim — rzekła dziewczyna i opuściła młodzieńca.

Zgnębiony, błąkał się przez cały dzień tu i owdzie, aż noc zapadła, pobiegł do domu i — spełnił to, co dziewczyna kazała.

Gdy więc teraz, po nocy, chce biedz do dziewczyny, potyka się i pada. A zakrwawione serce matki, widząc, że z jękiem powstać usiłuje, pyta go czule:

— Czy bardzo stłukłeś się synku? — lecz młodzian nic nie odpowiada i usiłuje powstać, lecz nie może. Zakrwawione serce matki, zdaje mu się być takie ciężkie, że z trudnością trzyma je w swych dłoniach i znów się podnosi. Nagle zachwiał się i jakby piorunem rażony pada z głośnym jękiem na ziemię bez życia. A zakrwawione serce potoczyło się od niego daleko. Usłyszała jęk dziewczyna, wybiegła i ze zgrozą patrzała na ofiary swej płochości. Niedługo żyła, bo wyrzuty sumienia, rozpacz i zgryzota ją zabiły i rzuciły do zimnego grobu. Tak więc zamiast długiego, szczęśliwego życia, znalazła rychłą śmierć.

Marya Wawrzyk.

Oszczędność.

Jeśli rzucimy okiem na wsie i wioski nasze to przedstawią nam one, a zwłaszcza w Galicyi wschodniej obraz smutny i opłakany. Grunta w paski pokrajane, ludzie biedni i mało kto z nich ma uciułaną jakąś kwotę na »czarną godzinę«. W stosunku do wsi w Poznańskiem nasze zostały daleko w tyle. Mają mało Kółek rolniczych, a jeszcze mniej kas Reiffeisena. Bardzo często wieś cała jest zależną od jednego Mośka, który mając szynk rozpija ludzi, pożycza im pieniędzy na lichwiarski procent, lubi zaczekać, jeśli nie może ktoś zaraz zapłacić lub weźmie w zamian ćwierć pszenicy, czy też co innego. Jeden Mosiek wszystkich ma w kieszeni.

Drugiem złem i przyczyną biedy naszej jest brak oszczędności, o której słów parę rzucić pragnę.

Przyjęło się u nas niedorzeczne zdanie: »Zastaw się a postaw się«. I cóż się dzieje? Ojciec ściąga się do ostatniego szeląga, aby córce sprawić wesele huczne i okazałe. Czy to chrzciny, czy zrękowiny, alkohol litrami płynie, a na drugi dzień egzekutor ostatnią poduszkę zabiera. Stateczny zaś gospodarz i rozumny, postępuje, trzymając się przysłowia: »Czem chata bogata tem rada«.

A jakaż jest u nas oszczędność co do ubiorów? Zamiast chodzić w ubraniu takiem na jakie go stać, pnie się jeden ponad drugiego. Dziewczęta rywalizują ze sobą. Ta, która ma trzy morgi musi się różnić od tej, która ma dwa morgi, a często dochodzi do tego, że ta, która ma najwięcej morgów najstrojniej się ubiera. Ona już ma pasek lakierowany, rękawiczki żółte, a nawet kapelusz, robiąc ze siebie — prawdę powiedziawszy — straszydło.

Skutkiem takiego nieracyonalnego wywyższania się jest zaniedbanie tak przepięknych strojów ludowych i bezmyślne szastanie groszem.

Życie ponad możność i siły, ponad stan prowadzi zawsze do zupełnej ruiny i dlatego tak nam źle z dnia na dzień.

Jeśli więc pragniemy szczęścia swojego i drogiej ojczyzny musimy oszczędzać. Im bardziej zamożni będziemy, tem mniej będziemy zależni od wrogów naszych, bo pieniądz to także potęga — on wiele może. Oszczędzać może każdy, ale w cnotę tę trzeba się zaprawiać od dzieciństwa. Nie przyzwyczajać dzieci do farbowanych cukierków i makagig żydowskich, ale dać im skarbonkę, by grosze do niej składały. Uczyć je, by w zeszytach nie opuszczały daremnie jednej linijki, bo dziesięć linijek, to jedna strona, a na jednej stronie zadanie całe napisać można. Nie pozwolić im zmarnować jednego zapałka, bo i tego darmo nie dostanie.

Przyjął się u nas zwyczaj, że gdy ktoś komuś zrobi jaką przysługę powiadamy: »Dziękuję wam, przyjacielu, żeście mi pomogli, a tu macie na szklankę piwa«. Jabym zaś inaczej radził: »Bóg zapłać wam, przyjacielu, żeście mi pomogli, a tu macie, abyście sobie schowali do kasy«.

Młody czy stary oszczędzać może i powinien. Chcąc jednak oszczędzać, pracować potrzeba, bo »bez pracy niema kołaczy« i oszczędności.

Oszczędność to cnota chrześcijańska, której przykład dał nam Pan Jezus, wiodąc życie skromne. On to po nakarmieniu głodnych rzesz, kazał do koszów pozbierać ułomki.

Będąc jednak oszczędnym, uważać potrzeba, aby się ta oszczędność w skąpstwo nie przemieniła.

Wreszcie święte obowiązki wobec biednej naszej ojczyzny zmuszają nas do oszczędności, bo nie wiemy czasu, kiedy ona od swych wiernych dzieci podatku zażądać zechce.

Józef Kobylański.

Święto Nowego Roku w Chinach.



Ileż nadziei jest przywiązanych do Nowego Roku? Kto był smutny, wesela się spodziewa; szczęśliwy jeszcze więcej szczęścia pragnie. Tak jest u nas chrześcijan, tak jest u ludów wyznających inne religie, pomimo, że nie zawsze i nie wszędzie rok rozpoczynał się z dniem 1-go stycznia.

Narody starożytne rozpoczynały nowy rok na wiosnę, w marcu, chrześcijanie zaś w oktawę Bożego Narodzenia t. j. w dniu 1 stycznia, w którym odbyła się tajemnica obrzezania Zbawiciela i nadania Mu imienia Jezus.

Kościół dzień ten święci uroczyście, a wszystkie ludy obchodzą go wesoło. Już dawni Rzymianie rozpoczynali rok nowy igrzyskami, biesiadowaniem, przebieraniem się mężczyzn za kobiety i nawzajem. Rzecz prosta, że pierwszy dzień Nowego Roku musi być dniem wzajemnych życzeń i powinszowań a także zabaw, jako rozpoczynający mięsopust czyli karnawał.

Zwyczaj dawania podarków na Nowy Rok przechował się u wszystkich narodów. Rzymianie modlili się do bogini Strenii, aby hojnością natchnęła osoby, od których spodziewali się otrzymać pewne dary. Królowie polscy »na kolędę« dawali wszystkim dworzanom swoim nieraz kosztowne podarunki, gdy ci życzyli im »nowego lata«.

Najwięcej różnych zwyczajów i wesołości łączy się w Polsce z obchodem wilii Nowego Roku, w ostatni wieczór roku starego. Nikt nie spędza tej chwili samotnie. Zbierają się na ten wieczór rodziny bliżej sąsiadujące na wsi, kółka przyjaciół w miastach, gromadzi się młodzież wiejska u ludu, aby wesoło i przy jasnem ognisku, wśród zabaw rozmaitych zakończyć rok stary. Dziewczęta czynią najrozmaitsze wróżby zamążpójścia, taksamo jak w wigilię św. Andrzeja. Jest bowiem między dniami tymi ten związek, że święty Andrzej zakończa rok kościelny. — Było mniemanie, że dziewica, która w wigilię Nowego Roku doczeka północy, i wpatrując się przy świetle dwóch świec woskowych w zwierciadło, ani razu nie obejrzy się za siebie, w zwierciadle ujrzy poza sobą postać przyszłego małżonka.

W dniu tym dziewczęta płatają figle chłopcom a ci dziewczętom. Więc wciągają brony na kominy domów, drzwi podpierają klocem drzewa. Dziewczęta przebierają się za cyganki, parobcy za cyganów oprowadzających niedźwiedzia, który zaleca się do dziewcząt.

Dawniej w Nowy Rok obsypywano się u nas owsem na znak pożądanej obfitości ziarna wszelakiego, a ci, którzy obchodzili z powinszowaniem, nosili owies w rękawicy i na każdy róg stołu sypali szczyptę, aby tak wszystkie rogi założone były chlebem.

U Chińczyków obdarzanie się wzajemne w dniu Nowego Roku trwa również po dzień dzisiejszy. Małe dzieci otrzymują różne łakocie a starsi często cenne podarki.

Chińczycy dzień ten obchodzą nadzwyczaj uroczyście, urządzając różne zabawy. Do najulubieńszych należy obnoszenie po ulicach dużych lalek przymocowanych do kijów, jak to widzimy na naszym obrazku.

Uroczystości Nowego Roku trwają tam piętnaście dni a kończą się wielką zabawą, wśród których zapalają setki kolorowych latarni.

Daj nam moc ducha.

Królowo nasza, na niebios tronie,
Błagalne szlemy ci pienia;
W Królestwie smutku, w polskiej koronie,
Połóż kres płaczu, cierpienia.
Twoi poddani modlą się Tobie:
Wspomóż nas Pani, wyrwij żałobie.

Rozbrzmiewa głucha niedoli skarga
Od samej życia kołyski,
Rozpacz ponura sercami targa,
Nadziei gasną odbłyski...
O Pani, w trudnej życia kolei
Niech nam nie gasną gwiazdy nadziei.

Krzep serca chore balsamem wiary,
Królestwo ukaż nam Boże,
Nie pierzchną czarne zwątpienia mary.
Niech błyszczą nadziei zorze!
Mdlejącej duszy daj wolę męża,
Niech przeciwności czynem zwycięża.

Bo bez oporu człowiek znoszący
Prześladowania od młodu,
I cicho na los swój się skarżący —
Jest rana swego narodu.
W tej więc rozterce, Pani na niebie,
O stałość woli prosimy Ciebie.

Niech, gdy zgromadzą nad naszą głową
Pioruny ciemne straszydła,
Zamiast zawodzić skargę jałową,
Rozwiniem odwagi skrzydła
I śmiało, choć nas ogłuszą grzmoty,
W pierś tych straszydeł zwróćmy ich groty!

O taką łaskę Ciebie błagamy,
Królowo nieba i ziemi!
Wszak i my prawo do życia mamy —
I myśmy dziećmi Bożemi.
Otocz nas, Pani, Swą świętą pieczą,
Pomóż odzyskać godność człowieczą!

Ferdynand Kuraś.

Ludowi memu — o Ojczyźnie.

»Gdybyśmy mieli Ojczyznę, bylibyśmy wolni, szczęśliwi, jak to ptaszę na gałązce, w powietrzu« — tak myślą, czują i mówią Polacy.

Cóż to jest ta »Ojczyzna«, o której dzisiaj tyle się słyszy?

— Ludu polski! ty masz na to pytanie w sercu gotową odpowiedź, lecz posłuchaj, ja ją wyrażę nieudolnie — słowami!

Ojczyzną naszą jest ziemia polska, na której się urodziliśmy, wychowali, na której żyjemy. Te pola mozolnie ale z miłością przez ciebie uprawiane — lasy, z których zwozisz drzewo na opał — wody gaszące twoje pragnienie — ogrody i sady, z których w lecie i jesieni zbierasz owoce — drzewa i krzewy, pod których cieniem siadasz znużony — trawy i kwiaty, których barwami oko swoje cieszysz. Chata, w której cię wykołysała, osiedle, w którem spędziłeś swą młodość, gospodarstwo, którem rządzisz dzisiaj. Kościół rodzinny, gdzie cię rodzice chrzestni pierwszy raz zanieśli, do którego biegniesz ochotnie, by Boga pochwalić, o łaski dla siebie i drugich poprosić. Głos dzwonów, wzywający codziennie wiernych na Anioł Pański, oznajmujący w około radośne i smutne chwile twojego życia. Cmentarz, gdzie spoczywają twoi przodkowie. gdzie i ty pragniesz złożyć swoje kości. Szkoła, w której nabyłeś tyle różnych wiadomości. Te gościńce, drogi, ścieżki, po których chodzili twoi praojcowie, deptasz ty, będą twoje dzieci. Miasta, miasteczka, gdzie załatwiasz tysiączne sprawunki. To niebo rozpięte nad tobą, słońce, księżyc, miliony gwiazd, burze i wichry, mrozy, śniegi, słoty; skowronek, rozśpiewany nad twoją głową, gdy zagony orzesz i nieustanny śpiew ptasząt, umilający twą dolę. Woń roli, kiedy ją pod zasiew uprawiasz, widok falujących zbóż, czas zbierania plonów podczas żniw — jednem słowem to wszystko, co cię otacza, czem żyjesz, na co patrzysz, co cię smuci lub cieszy.

Ojczyzną naszą to — mieszkańcy tej ziemi, która, że nas wychowała, jest naszą matką, a my jej dziećmi. Pomiędzy sobą jesteśmy braćmi, siostrami, tworzymy wielką rodzinę polską, a połączeni jesteśmy z sobą pochodzeniem, mamy jedną religię, wspólny język i historyę swych dziejów, wspólne zwyczaje, obyczaje, jedne myśli, pragnienia. Między sobą jesteśmy swobodni, bo czujemy się blizkimi pokrewieństwem krwi, jednoczy nas mowa ojczysta, że dola nam wspólna, więc i serce się przed bratem z ufnością otwiera. Jakże się nieswoi czujemy, gdy się znajdziemy wśród obcych: Niemców, Moskali czy Anglików! Mimowoli szukamy dokoła siebie rodaka, słuchamy z tęsknotą, czy gdzie nie zabrzmi wyraz polskiej mowy...

Ojczyzną naszą — to religia, którąśmy oddziedziczyli po przodkach Głęboka wiara w prawdy odwieczne, ufna nadzieja w pomoc i opiekę Bożą, szczera miłość tego, co wielkie, święte, nieomylne, bo oparte na Mądrości Najwyższej, a znajdujące się w Kościele rzymsko-katolickim. Słuchanie Mszy św., przystępowanie do św. Sakramentów, liczne nabożeństwa, z których niejedno spotykamy tylko na polskiej ziemi — te drogie sercu Polaka nabożeństwa majowe, czerwcowe, Różańca św., polskie godzinki, roraty, kolędy, wspaniała pieśń suplikacyj, których siła i majestat podziwem napełnia cudzoziemców.

Ojczyzną naszą — to mowa polska, w której nas matka pacierza uczyła — słowa, wyrazy, którymi wypowiadamy swe myśli, uczucia. Ten szczebiot dziecka, które zna najpierw dwa słowa: mama, tata — i ten bogaty język, którym posługujemy się w codziennem życiu.

Ojczyzną naszą — to historya i literatura polskiego narodu, ta bezcenna spuścizna po dawnej przeszłości. Dzieje królów polskich, ich sławne rządy w kraju, chlubne zwycięztwa nad najeźdźcami. Bohaterskie walki hetmanów, wiekopomne czyny i zasługi wybrańców Bożych, którzy na cały świat roznieśli sławę imienia polskiego, jużto swą mądrością, męstwem, poświęceniem bez granic dla swojej Ojczyzny — to też wzniosłe ich przykłady z chlubą każdy z nas wspomina i zapala się do naśladowania ich cnót i wzorów. Prawda! że w naszej historyi spotykamy zapomnienia się i upadki jednostek i ogółu, wichrzenia, niegodną prywatę, okresy smutne i bolesne dla całego narodu: Klęski rozbioru Ojczyzny, lecz i walki gorące o jej odzyskanie, cichą pracę nad jej wyswobodzeniem. Każdą kartę tych wspomnień miłością otaczamy, bośmy ją zapisali ofiarą z krwi i mienia i choć straciliśmy byt niezawisły, a nadzieją patrzymy w przyszłość, bo niepodobna, by zginął naród, który tak szczytną ma przeszłość za sobą!

Ojczyzna naszą — to zwyczaje, obyczaje polskie, które wypełniają nasze życie, a których pilnie strzedz powinniśmy. Niektóre z nich są dla narodu zgubne — raz się z nimi pożegnajmy! — np. szumne wesela, pogrzebowe stypy, na których się nie obejdzie bez tradycyjnego pijaństwa, ale niechże nie giną rzewne obrzędy weselne, wigilii, okresu Bożego Narodzenia, sobótka, wianki i t. d. Strzeżmy z zamiłowaniem strój narodowy, nie gardźmy płótnianką, kitlą, gunią, czepcem! Kiedy podczas Kongresu Eucharystycznego w Wiedniu na podwórzu cesarskiem zjawił się oddział polski w krakowskim stroju, cudzoziemcy z zachwytem podziwiali białe sukmany, szerokie pasy i czapki z pawiemi piórami uczestników polskich! Strojny nasz strój, uroczy i dziarski Polak w ojczystej siermiędze, śmieją się do niego serca ziomków, a on dumnym się czuje, bo sumienie go nagradza za to, że się nie wypiera spuścizny po ojcach!

Ziemia, ojcowizna nasza, mieszkańcy tej ziemi, religia rzymsko-katolicka, mowa polska, historya i literatura polskiego narodu, zwyczaje i obyczaje ojczyste — oto krótka odpowiedź na pytanie: co to jest Ojczyzna Polaka! ***Ks. Paweł Wieczorek***

NA ROK NOWY 1913.

W szarfie złocistej ku nam już śpieszy,
Cudnym urokiem niejako cieszy,
Iż zasnął w Panu starzec wiekowy,
Po nim nastąpił piękny Rok Nowy.

Zasiadł na tronie z berłem wszechświata,
I z dumą władcy do mety wzlata,
By z horyzontu rozpędzić chmury,
I mrok wiekowy, szary, ponury.

O szczęść nam roku i wzbij do chwały,
Niech wzleci w górę orzeł nasz biały,
Niechaj wolności zabrzmią hejnały,
By polskie pułki czynnie powstały.

Im wyżej wzleci orzeł nasz biały,
Tem się zażarcej będą wściekały,
Ci, co mu nową chcąc zadać ranę,
I zetrzeć siły niewyczerpane.

O, czas podążyć z tym hasłem drogiem,
Do obrachunku z odwiecznym wrogiem,
Do pomyślnego już zdążyć końca,
Zabłyśnie dla nas wolność cud słońca.

Więc z nową wiarą idźmy w Rok Nowy,
Póki nie błyśnie świt nam różowy.
I życzmy sobie wzajem wytrwania,
A wnet nadejdzie dzień Zmartwychwstania.

Walenty Miśniak.

CZARNA ŚMIERĆ.



Jak po wojnie rosyjsko-japońskiej w roku 1905 dawały się słyszeć pogłoski o cholerze, tak i dzisiaj po wojnie bałkańskiej przedostają się wiadomości o tej strasznej zarazie srożącej się wśród wojsk walczących. Cholera, jakkolwiek bardzo groźna, nie jest jeszcze tak straszną, jak dżuma, czarna śmierć, czarny mór, czarna zaraza, morowe powietrze — choroba, która na Dalekim Wschodzie prawie zawsze grasuje, zabierając dziesiątki tysięcy osób.

Dżuma do Europy teraz przedostaje się bardzo rzadko a gdy się przedostanie, bywa natychmiast przez lekarzy stłumiona. Inaczej było jednak dawniej. W czternastym wieku gdy na przykład wybuchła dżuma w Europie, zabrała czwartą część ówczesnej ludności, t. j. dwadzieścia pięć milionów ludzi.

Osoby nią dotknięte dostawały najprzód nabrzmień w pachwinach lub pod pachą, nieznacznie powiększających się do rozmiarów jaja. W krótkim czasie nabrzmienia te rozszerzały się po całym ciele i od tej chwili ratunku już nie było Czasem choroba ta objawiała się w postaci plam białych i czarnych, to szerokich i rzadkich, to maleńkich a w znacznej liczbie. Sztuka lekarska stawała się zupełnie bezsilną, prawie wszyscy chorzy najdalej trzeciego dnia po wystąpieniu pierwszych objawów zarazy umierali, najczęściej bez żadnego znaku gorączki.

Tak straszną była ta zaraza, że udzielała się osobom najzdrowszym, pielęgnującym chorych, z szybkością ognia, chwytającego się palnych materyałów; wystarczało do zarażenia dotknąć sukien chorego.

Do XVIII w. nie umiano znaleść środka ku zwalczaniu groźnej klęski, nie znano też jej istotnych przyczyn. Wiedziano jedynie, że choroba ta jest niesłychanie zaraźliwą, jak również, że rozszerzać ją mogą nietylko ludzie, ale także zwierzęta domowe, szczury, myszy, pchły i pluskwy. Pod wpływem ciemnoty, zabobonności i przerażenia, tłomaczono sobie ją jako objaw kary Bożej za grzechy ludzkie oraz jako objaw złości szatańskiej. Zarządzano tedy modły publiczne, procesye błagalne, surowe pokuty, oprócz zaś tego prześladowano w okrutny sposób rzekomych czarowników i czarownice, którzy, jak twierdzono, będąc wspólnikami szatana, z jego poduszczenia rozpowszechniać mieli zarazę.

Strach ogarnął zabobonne umysły. Wszędy rozpoczynały się modlitwy rozpaczne, odgłosy biczowań, wszędy też jaśniały stosy, na których płonęli nieszczęśliwi, posądzeni o czary.

Z biegiem czasu wiedza rozprószyła ciemnotę. Dziś już wiemy, że przyczyną moru są niedostrzegalne dla gołego oka drobnoustroje, które się mnożą niesłychanie szybko w przyjaznych dla siebie warunkach i że najskuteczniejszym środkiem przeciwko nim jest bezwzględna czystość i zdrowe, umiarkowane odżywianie. Jakoż odkąd zaprowadzono urządzenia zdrowotne i opiekę lekarską, straszna zaraza już się nie pokazuje w Europie; natomiast grasuje na Wschodzie, tam bowiem warunki zdrowotne wciąż jeszcze w opłakanym znajdują się stanie.

W r. 1003 nawiedziła Polskę okrutna zaraza i to z taką srogością, iż ci, co grzebali zmarłych, pospołu z nieboszczykami usuwali się martwi w mogiły.

W 1315 r. był w Polsce srogi głód tak, że matki i ojcowie dzieci swe, a dzieci rodziców zabijały i jadły. Potem nastąpił mór, który trwał cały rok, a tak wiele ludzi pomarło, iż w Polsce i w Prusiech wszystkie zboża niepożęte pozostały.

W początkach XV w. Władysław Jagiełło musiał uchodzić przed zarazą z Poznania do Horodła, tracąc w drodze wielu z swych dworzan.

Okropna zaraza pustoszyła Warmię, Prusy i Inflanty w 1601 r. W Rydze zginęło 30 tysięcy ludzi, a w całej prowincyi do 100 tysięcy; w Prusiech co tydzień padało po 650 chorych; w wojsku polskiem zginęło 15 tysięcy żołnierzy.

Najstraszliwszemi były w XVII stuleciu lata 1650—1663 podczas wojen kozackich za Jana Kazimierza. W samym Krakowie zmarło do 40 tysięcy ludzi, w Gdańsku w jednym tylko 1653 r. — 11.600 ludzi; w Kamieńcu »nieco tylko ludzi ostało przy życiu«.

Na początku XVIII w. powtórzyło się to samo. Lud wiejski, uciekający z pustych domów, napełniał ulice miast. Leżały trupy wszędzie, jak stosy drzewa, dopóki ich nie zaczęto po 70 i 80 razem rzucać do dołów.

Poeci, powieściopisarze i malarze, brali za temat do swych utworów ową zarazę pod rozmaitą postacią. Mickiewicz w *Konradzie Wallenrodzie* ubiera ją w postać dziewicy; Słowacki opisuje w *Ojcu Zadżumionych*; w powieściach oprócz Kraszewskiego malują ową zarazę Michał Synoradzki w powieści historycznej z XVII w. p. t. *Czarny rok*, drukowanej w 1911 r. w »Roli«.

Z obrazów przedstawiających czarną śmierć wymieniamy obrazy Poussina, A. J. Grosa, A. Böcklina oraz M. Klingera, którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze. Przedstawia on zarazę w postaci czarnego ptaka, unoszącego się nad łożami chorych. Wystraszona zakonnica chroni się pod krzyż, chorzy z bojaźnią spoglądają na czarne widmo.

Kolenda i kantyczki.

U wszystkich ludów pogańskich, słońce i księżyc, ziemia i ogień, woda i wiatr, i różne zjawiska przyrody odbierały cześć boską. — Słońce jednak i księżyc uważano za główne bóstwa, którym nazwy dawano przeróżne; nazwiska tych bóstw zależały od wielu bardzo okoliczności.

Człowiek pogański, a tem samem i Słowianin z doby hrzedhistorycznej, widział w słońcu uosobione dobro; pod jego wpływem i drzewa zakwitały, i ziemia okrywała się łanami zboża, i zwierzęta wszelkie radowały się, słowem cała natura kipiała życiem. A ponieważ życie to rozwijało się stopniowo, więc w sile i działaniu słońca pogański człowiek widział różne okresy. Jakoż względnie do tych okresów człowiek pogański obchodził uroczystości na cześć słońca. Więc sobótki, wianki, kupalo i t. p. obrzędy ludowe mają znaczenie uroczystych świąt słonecznych.

Na zasadzie powyższej można przystąpić do tłómaczenia kolendy. U Staropersów pierwszą uroczystością roku była »Mihrgan« t. j. uroczystość nowo narodzonego słońca. Odbywała się ona w końcu grudnia, w czasie, kiedy słońce zaczyna się powiększać. Uroczystości tej ważnym przymiotem były zabawy, ofiary i przeróżne dary.

Czesi, Słowacy i Serbowie uroczystości noworoczne nazywają »kolendą“. Uroczystości Kolad rozpoczynały się zawsze w wigilię 25 grudnia; były to czasy radości, wymiany prezentów i wszelkich igrzysk ludowych.

Podania serbskie głoszą, że w nocy wigilijnej, w bożym zamku, w raju rosną drzewa ze złotymi gałęziami i srebrnymi liśćmi, a na łożach, pokrytych kwieciem, spoczywają bogowie; w owym raju rodzi się młode słońce. Nawet potrawy, jak miód, mak, migdały i t. p., spożywane w wigilię, mają symboliczne znaczenie. Wreszcie słowiańskie miano kolendy spotykamy u Indian jako »Kolenda«.

Tak u nas, jak i tam, do kolend przywiązane są uroczystości noworoczne. Podania wszystkich ludów stwierdzają, że słońce, owo bóstwo najwyższe pogan, czczone było pod różnego rodzaju nazwami. Czy to więc będzie Światowid, czy Helios, czy Perkun, czy wreszcie Kolada albo Kolenda, zawsze te miana oznaczają bożą zasadę słońca. Na tej podstawie kolendy i nasze uroczystości noworoczne przechowały się po dzisiejsze czasy, jako zabytki dawnych podań. Od chwili jednak, gdy prawda wiekuista, nawet u pogan przeczuwana, zajaśniała w całej pełni, gdy zstąpił na ziemię Syn Boży, owe zwyczaje prastare nabrały innego charakteru. Dawną kolendę przystosowano do Bożego Narodzenia i z czasem tak zostały nazwane pieśni, rozbrzmiewające ku czci Dzieciątka Jezus, pieśni inaczej kantyczkami zwane.

To już wyraz spolszczony z łacińskiego »Canticum«, co oznacza pieśń. Pieśni kolendowe, kantyczkowe, najdawniejsze pochodzą z XV wieku, lubo później tekst pierwotny bywał zupełnie zacierany i to niezbyt fortunnie.

W treści zwykle naiwnej mieszano rzeczy pobożne ze świeckimi, historyę świętą z dziejami współczesnymi, modlitwę z jakąś plotką okolicznościową. Sceny, rozgrywające się na tle Palestyny, ale żywcem są brane z okolicy, którą pieśniarz zamieszkiwał.

Po Zawierusze.

Powieść wiejska z niedawnych lat.

1. Jankiel namawia Marcina.

Kalendarz mówił, że jest wiosna, ale jej znać nie było — taka jakaś żałobna i zapłakana przyszła w tym roku. Na polach pokazał się pług tu i owdzie, wychudzone bydło ciągnęło z pastwisk, skowronek śpiewał wprawdzie, ale nikt mu nie wtórował na ziemi, bo nie do śpiewania było ludziom w tych czasach.

Smutnie szumiała złota wierzba nad wodą i brzoza przy gościńcu, a między ludźmi znać było przygnębienie ciężkie. Były całe obszary pól leżących odłogiem, zaniedbanych od dawna. Pług nie tknął ich na jesień, nie ruszył teraz na wiosnę, to też stwardniały one i zielskiem porosły. W lasach tylko rozlegał się łoskot siekier, bo drzewo było za bezcen, a spekulanci umieli z chwili korzystać.

W owych to czasach, najbliższych po r. 1863, sekwestratorowie i komornicy *) zajeżdżali konie, tyle mieli zajęcia i pracy. Ziemia była tania, lecz nikt kupować jej nie chciał. Gdzieniegdzie dopiero ukazywały się pierwsze postacie kolonistów niemieckich, za którymi później dopiero nadciągnąć miały długie szeregi wozów, pełne nowych Niemców.

Krwawiło się słońce na zachodzie — a przy jego promieniach, niebawem już zgasnąć mających, widać było niewielką, na wzgórzystym brzegu rzeki rozrzuconą wioseczkę. Stara to wieś była. Chaty niewielkie, w ziemię już potrosze zapadłe, ze strzechami mchem zielonkowatym porosłe, kryły się w ogródkach, w których czereśnie zaczynały się właśnie białym kwieciem pokrywać.

Na końcu wsi, jak zwykle, stała karczma wielka, drewniana, z ogromną szopą dla koni, z pozieleniałemi oknami, w których braki szyb przemyślny arendarz gontami i papierem uzupełnił. Widać stąd było czerwone mury spalonego niedawno folwarku, otoczonego rzędem topoli, dalej rzekę, szerokie łąki nadbrzeżne i biały kościółek w sąsiedniej wiosce.

Przed karczmą stał arendarz, Jankiel, w wytartym kamlotowym żupanie — a żywymi ruchami rąk usiłował wytłómaczyć coś staremu chłopu, powracającemu właśnie z kuźni z zaostrzoną siekierą.

— Ny, ja wam tylko powiadam, że my możemy zrobić bardzo dobry interes!

— A jaki ze to?

— Oj, żeby ja takie szczęście miał, jakie wy macie cięźkie głowe, mój Marcinie, ja sobie nawet dżywuje, co was sołtysem zrobili z takiem głowem, a może jeszcze na wójta was wykierują!? **)

— Ha, jak wypadnie być — to się i będzie.

— Oj waj, będzie! a co wy będzieta z kancelaryą robili, kiedy wy nie wieta, co z pieniędzmi robić? A wy macie, Marcinku, pieniądze, ładne pieniądze macie!

— Musi rachowałeś, zydzie, moje pieniądze?

— Za co ja miałem rachować? wasza niewiastka gadała, co macie z półtorej ćwierci rublów, same białe, jak perły, aj, żeby to ja miał w swoim majątku! Ale co tu próżne gadanie gadać? Ja wam powiadam, Marcinie, co to wszystko, jak widzita w koło, może być nasze, za bardzo tanie pieniądze. Kupmy do współki, wy dacie pieniądze zara — ja

*) Tak nazywają się w Królestwie Polskiem egzekutorowie.

**) W Królestwie naczelnikiem wsi jest sołtys; wójt jest naczelnikiem gminy, która obejmuje kilka wsi.

dam trochę póżniej. To jest fajn interes! Ja wam oddam wszystkie gruntów, a sobie wezmę tylko trochę las, trochę młyn i trochę propinacye. Reszta będzie wasza, jakbyśta na drodze znaleźli... prawie za darmo wasze będzie! Chodźta do izby, zara wam litkup sprawię, mam taką fajn pieprzówkę, co aż oko zbieleje.

Chłop usiadł na ławce, żyd wciąż nastawał.

— Ny, co to wy tera nie pan? nie obywatel?

— Ja tam chłop z chłopów, gospodarski syn — odpowiedział, nie bez dumy, Marcin.

— Może wy sobie miarkujecie na nich — rzekł Jankiel, ręką na folwark wskazując — ny, a co z tego? Uni kapcany są, uni bankruty! wy może jeszcze czapkę przed niemi będzieta zdejmować? Za co? Ja tyż jestem bardzo miłosierny i mam także miękkie serce, ale jak kto kapcan, to na co jemu miłosierność? Jemu miłosierność tak pasuje, jak groch do ściane! Ny, jak wy miarkujecie z tym interesem, Marcinie? Ja zawdy myślę, co my ich kupiemy.

— Albo to człek bydlę, żeby go kupować?

— Ja wam powiem, oc niema gorsze głupie bidło, jak człowiek, co sam ze swojej garści szczęście wypicha.

Żachnął się chłop.

— Ej! cichoj, ty cyganie! bo jak cię zamaluję, to ci się sądny dzień przyśni.

— Co wy zrobicie zabójstwo? Co to jest! Gewałt! Ja was do sądu zaskarżę!

— A to skarż, bestyo — mruknął ponuro chłop i już chciał odejść, ale żyd za rękaw go chwycił.

— Za co my sobie mamy gniewać? My zawsze przyjaciele byli. Mój Marcinie, panie Marcinie! Panie gospodarżiu! Od takie porządne i godne osobe to nie żal nawet paskudne słowo usłyszeć. Ja wam sprawiedliwie powiadam, co całe Zarzecze może nasze być!



...ja tu piszę na ścianie sześć kresek.

— A oni? — rzekł cicho chłop.

— Jakie uni? Gdzie jest uni? Już ich wcale nima! Czekajta, ja wam porachuję wnet na piśmie. Siła ich było wszystkich? Całe paradę sześć — no, patrzcie, ja tu piszę na ścianie sześć kresek. Raz, dwa... sześć! Widzita sześć!

— Dyć je sześć, rzetelnie.

— Pierwsza kreska, to dziedzic, gdzie un jest? Jemu nima.

— Nieprawda, bo je za granicom, czy za morzem gdzieś.

— No, to idźta po niego i przynieśta go stamtąd na plecy. Ha! ha! wieta wy, gdzie on jest? Nasze żydki gadali, co un powędrował aż za Warsiawe do sama Ameryka i co un tam u tego Ameryka za stróża jest. Ny, tera patrzta, dziedzic ferfał! Mażę jednę kreskę. To już tylko pięć!

— Pięć — powtórzył chłop.

— Teraz dziedziczka, to także jakby jej nie było...

— Kiej je, Bogu dzięka.

— Czekajta, nie bądźta w takie gorące wode kąpane! Naprzód, kobieta to sze rachuje tylko za połowę człowieka, to już można pół kreski odmazać; a po drugie, powiedzcie mi, czy pół człowiek można rachować za cały człowiek? Czy za pół rubla da kto całego rubla? Za pół grosza czy jest cały obwarzianek? No, gadajcie, jest czy nima?

— Ha! juści pewnie, że nima.

— No, to już druga kreska; a tera jest troje dzieciów, to nie warto nawet rachować.. Uni pójda do swoje familie, dostaną adukacye, będą panami! Na co im majątku? A my nie będziemy mieli adukacye, to nam trzeba majątek! Więc została się tylko jedna kreska. Prawdziwie, to nie jest żadna osoba, tylko ten ich stary przyjaciel, co musi zawdy swój nos do kużdego interesu wsadzić. Ja go tylko napisałem bez miłosierdzie, bo co on znaczy? Naprzód stary jest, może zaraz zrobić ganc git gesztorben — to go nie będzie; po drugie, un ma pieniądzów, co mu do śmierci wystarczy, można mu także zmazać. A teraz, patrzajta na ścianę — buło ich sześć, a gdzie uni tera są? Nad kim wy macie sobie litować, kiedy wam pokazałem na piśmie, co ich już nima?

Chłop wziął żyda za rękę i dotykając palców jego, na których ślad od ścierania kredy pozostał, rzekł:

— Ot, widzis bestyjo, niedowiarku, patrzaj, są tu wszystkie co do jednego, ostali się na twoim paluchu, tak, jak niejedna chłopska chudoba na nim ostała, wszyćkie tu są, wszyćkie tu siedzą.

— Oj waj! trocha midła i trocha proste wode, już ręka czysta jest, jak bursztyn.

— Z sumienia nie odmyjesz!

— Marcinie! Marcinie! za co wy nie jesteście za księdza? Wyby tak pięknie gadali do chłopów, coby uni nie byli gałgany, ani pijaki, uniby tak sobie płakali w kościele, jak widry, czy jak jakie inne futrzane stworzenia, a potem zapłakane przyszliby do mnie... na gorzałkę! Ha, ha! ja nie wiedziałem, co wy takie mądre, a i co wam z tej mądrości?

Chłop milczał — oczy jego były w tej chwili zwrócone w stronę folwarku, a spojrzenie miał smutne, załzawione prawie. Żyd to spojrzenie zauważył i zdawało mu się, że je zrozumiał dokładnie. W okamgnieniu też przyszła mu do głowy inna kombinacya, przedmiot rozmowy zmienił nagle.

— Nie mata wy czasem z furkę szana na psiedaż? Mnie tera szana bardzo potrzeba.

— Skąd zaś? Toć mi łońskiego lata het woda zatopiła wszyćko.

— Prawda, ja zapomniałem, co wy macie taki paskudny kawałek przy same wode, co jak su-

cho jest, to same paprochów, a jak mokrość, to sam gnój!

— Ha! wola Boska, jak się urodzi, to człek zbierze, a jak nie, to se inaczej radzi, jak mogący.

— Ny, tak krawiec kraje, jak materyi staje, ale tych dworskich łąków, co oni trochę wyższe są, to jest cósz fajn, aj waj! jakie uni mają szano! to prawdziwe cymes mit makies! Pannaby mogła takie szano jeść!

— Piękne siano!

— Co to piękne? To rarytne szano! Na całe okoliczność takie szano szukać! Tego szano wiązka, to znaczy kuniowi za ćwiartkę owies mlinkowany, przez sieczke. Mnie sze zdaje, co my z Saltzmanem kupimy tego łąka do współki... kiedy wy nie chceta.., u niego też pieniądzów nie brakuje.

Chłop na łąkę dworską patrzył, ale nie odpowiadał. Siedział na ławie zamyślony. Żyd niby o interesie już zapomniał, przechadzał się przed karczmą, śpiewając coś pod nosem. Nagle, jakby sobie coś przypomniał, stanął i uderzając chłopa po ramieniu, rzekł:

— Czy to prawda, Marcinie, co wy chceta stawić nowe chałupe?

— Niby, ja to tak myślę, bo chciałem grunt dzieciom odpisać, a dwoje ich je: syn i córka. Tak w jednej chałupie siedzący, to się zięć będzie z synem wadził, a córka zaś z niewiastą, zwyczajnie jako baby, już się przekomarzają.

— Ny, wy macie recht, co w chłopskie karkulacye na dwa dzieci, trza dwa chałupów; to pewno, bo uni sobie kiedy zabiją we złości; a dlaczego jeszcze nie stawiacie? Sama pora tera jest!

— Ot, tak mi zeszło jakoś — a i drzewa nie mam...

— Drzewa to bagatelka jest! Ja wam przedam.

— A ty gdzie masz bór?

— Niedaleko, stąd widać, ten właśnie, co od hrabiowskiej granicy.

— Dyć to dworski, nie twój?

— Dziś ton un jeszcze troche dworski, ale już i tak, jak mój — albo to długo czekać licytacye? Ja mam już na niego wspólnika. Znacie mu przecie, ten czarny Fajbuś, co miał dawno olejarnię, a tera sobie z lasem handluje. Chceta? to wam pokażę pieniądzów na zadatek. Ja chciałem z wami, ale jak wy nie chceta, to co ja mam robić? Ja przecie nie mogę dołożyć do wasze fanaberye.

Poskrobał się w głowę chłop.

— Poczekajta trochę — rzekł — może ja się krzynkę rozmyślę.

— Aj! co mnie z wasze myślenie? Wiadomo chłopskie myślenie, a żydowskie jechanie, to jedno jest! Zara! zara! fur! fur! a w miejscu stoi. U naszych, to dwa słowa i siojn, siabas!

— A siłaby to trza pieniędzy?

— Ny, co z tego, że wy mata pieniądzów? Ale nim wy odwiążecie swego worek, a pocznieta sobie drapić w glowę, to drugi dziesięć razy kupi; a jak sze namyślita, to sze znowu rozmyślita i znowu zacznieta sobie co innego myśleć.

— Ha, mozebym ja wreście...

— Jak sobie miarkujeta, mnie to wszystko jedno jest. Z tym spółka, z tamtym spółka! Czy ty czort, czy ty Iwan, aby ja swoje miałem.

— Zawdy jabym se chciał dokumentnie to rozkarkulować.

— Karkulujta! chociaż to krótka karkulacya, aj waj! taki łąka, taki las! to jest szafran, to cynamon jest!

— Dwa, trzy dni poczkaj.

— Ny, ja poczekam cztery dni nawet. Aj waj! Marcinie, ja zawsze mówiłem, co wy macie delikatny rozum, co wy nie dla parady niesieta swoje głowy na plecy.

— Adyć dopieroś gadał, com głupi.

— Co ja gadał? Jakie gadał? Ja nic nie gadał! A choćby ja nawet co gadał, to rachujcie, że ja nic nie gadał! Bo na co takie gadanie jest?

— No, tedy cekas?

— Ny... ny...

— I bez ten czas bezemnie nic nie zrobisz?

— Żeby mnie tak wielgie frybre nie trzęsiuło, jak ja przez was tego nie zrobię.

— No, to dobrze, ale..

— Już zaczynata kręcić! Wam sze zdaje, co kot zawsze ma zęby?

— Bo pewnie ze ma.

— A jak un sze obróci z ogonem, a jeszcze jemu za łeb przytrzymają, to gdzie jego zęby? Aj, Marcinku, na co to gadać? Wypijta sze wódki i idźta do chałupe spać.

— Nie żądny ja dziś wódki, pójdę se pomaleńku do domu... bądźta zdrowi, Janklu.

— Ny, ny, idźta z Bogiem! my sobie jeszcze pewnie jutro będziewa oglądali.

Powoli, ciężkim krokiem poszedł chłop ku domowi. Noc zapadała wietrzna, ciemna. Chałupa Marcina na samym końcu wsi stała, odosobniona trochę. Naprzeciw niej był wzgórek wyniosły, na którym, pomiędzy czterema wysmukłemi topolami stał krzyż wysoki, poczerniały już ze starości i pochylony na bok. W lecie dzieci i dziewczęta przynosiły tu wianki i zawieszały je na otaczających krzyż i drzewa sztachetkach, które również poczerniały. Ktoby się chciał w dzień dobrze temu krzyżowi przypatrzyć, odczytałby, z trudnością wprawdzie, poczerniały, w części mchem zarosły napis, wyryty jakiemś pierwotnem narzędziem:

Chtóryś za nas † czerpyał rany † Chryste † Zmyłuy sye Nad namy † a u spodu na dolnej części krzyża: «*Walenty Gayda i Magdalena Gaydzina Fondatorowie, A. D. 1782.*

Ten Walenty Gajda i Magdalena Gajdzina byli właśnie rodzicielami Marcina Gajdy, któregośmy rozmawiającego z Janklem przed chwilą widzieli. Stary chłop nabożny, pełen owej prostej, chłopskiej wiary, która wedle orzeczenia Pisma św. »góry przenosi«, powracając do domu z roboty lub z drogi, nigdy nie ominął krzyża ojcowskiej fundacyi. I teraz zatrzymał się przed figurą, ukląkł na ziemi wilgotnej, czapkę z głowy zdjął i modlił się szczerze, serdecznie, tą modlitwą gorącą, jaką tylko chłop polski modlić się potrafi.

Długo się modlił stary Marcin; wiatr rozrzucał siwe jego włosy, targał je, rozwiewał poły sukmany, ale stary, zatopiony w modlitwie, nie zważał na to, wciąż klęczał.

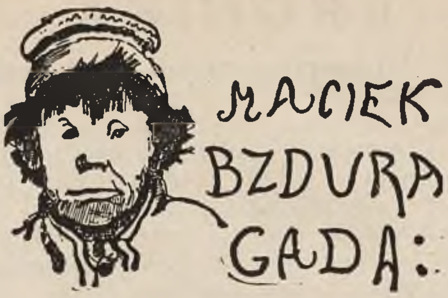
Kiedy nareszcie, opierając się jedną ręką o ziemię, wstawał z trudem, we wsi rozległo się gwałtowne ujadanie psów i słychać było turkot kół.

Pan Jankiel Pacanower puszczał się w podróż. Zaraz po odejściu Marcina zaprzągł do biedki łysego kasztanka, wypił kieliszek mocnej szabasówki, a przywdziawszy kilka żupanów, opuścił domowe progi...

Pojechał na noc całą, a miał też interesów co niemiara. Takie duże przedsiębiorstwo wymagało wspólników, trzeba więc ich było wynaleźć zawczasu.

Kasztanek, korzystając z tego, że arendarz różnemi marzeniami zajęsy o biczu zapomniał, szedł powoli, a Jankiel, kiwając się na biedce, marzył o przyszłości.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W samą wilyją Nowego Roku przylecieli do gróbarza Paździorzyna, cali zziajani i rozindyceni i padają:

— O laboga, laboga! jaze mi serce kołkiem w garle stanęło!

— A to cemu? — ja na to — bom się przeląk, aby z babom nie było jakiego nieszczęścia, jako, ze gdzie się baba pokaze, a do tego rozindycona, to się pewnikiem jaki przytrafunek zrobi.

Pożreli na mnie Paździorzyna i dalejze jechać:

— A ty cyganie piesecki! Ty się jesce śmis pytać cemu? Bajołeś ciągiem, ze wojny nie będzie, a tu temcasem wylazło twoje brechanie!

Na takie gadanie wszyćkie moje włosy na głowie jesce bardzi dęba postanęły, bo chociem nie bojący, ale tak nagły i niespodziwany wojny trochę się przeląkłem. Pytam więc dokumentnie:

— Nie wydziwiajcie wy od cyganów, ale padajcie z kim i gdzie wojna i lacego o niej padacie?

— Z kim? Bo ja wiem z kim? — odparli Paździorzyna. — Ale ze musi być i jest to pewne bo juz Józkowi Bącykowi, przysła dzisiaj karta, coby się stawił do reimentu. A jakby ni miało być wojny, to po co by go wołali.

Począłem się śmiać z Paździorzyny i padam:

— Oj baby, baby! Wy to co dzień co insego se wynajdujecie, aby się same bać ciągiem i drugich strasyć. Wiadomo przecie, ze baby do wojny najsmyśniejse i ciągiem ją ze sobą prowadzą, a nie boją się jej — a tam gdzieś, kanyś jakby była wojna, to się jej boicie!

Ale co się tu dziwić babom, kiedy z końcem łońskiego roku, to nawet najodwazniejse ludzie wszyćkie się jej bały. Pytali ludzie we Widniu ministra: — »Co będzie?« — a on odpowiadał: — »Nie wiem!« — Pytali o to samo w Berlinie, Paryżu, Petersburgu, a wszyćkie ministry padały: — »Nie wiem!« — Dopiro, jak ja pedziołem w »Roli«, ze nie będzie, to się w całym świecie poceło wyjaśniać. A tam jakiesik powołanie kogosik, gdziesik, to jesce nie powód, aby wojna była, boć przecie i Pan Jezus co dzień chmarę ludzi do siebie na tamten świat powołuje, a na tamtem świecie wojny latego ni ma.

Co się tu jednak dziwić Paździorzyny, która jest baba młoda i urodna, ze się wojny boi, kiedy nawet stara i brzyćka Mośkowa przed nią ze strachu zębami kłapie.

Wkiejsik pytałem się jej, lacego się tak boi, kiedy ani pieniędzy ni ma, ani zadnych kosztowności, a ona mi tak na to:

— Słuchaj, Maczek! Wojna to wielga rzec. Jakby była, toby się zwalało do nas masę kozaków, a oni okrutnie paskudne ludzie!

— No i coz wam wezną, kiedy nic nie macie?

— Co wezmą? Oni nie tylko na piniądze są łakome: one takze okrutnie kubity lubią.

— No i cegóz się boicie, kiedy wyście stara?

— A cy to starych kozaków na wojnie nie będzie?

Ta i to prawda — myśle se — kuzdy przecie moze se cosik wynaliźć, aby się bał ino to chybka, ze wojny nie będzie.

Z TYGODNIA.

Książę Jerzy Czartoryski, wieloletni poseł na Sejm i do Rady państwa, członek Izby panów, zmarł w Wiedniu w 85 roku życia. Pogrzeb odbył się dn. 28 grudnia w Sieniawie, w Galicyi. Zmarły należał do najwybitniejszych obywateli kraju. Zasłużył się wielce w początkowych latach doby autonomicznej w Galicyi. Gorący patryota, dzielny obywatel zostawia po sobie jak najlepszą pamięć w szerokich kołach społeczeństwa.

O uniwersytet ruski. Koło polskie na posiedzeniu d. 28 grudnia powzięło uchwałę, w której oświadcza się za założeniem samoistnego ruskiego uniwersytetu w Galicyi najpóźniej dn. 1 października 1916. W kwestyi uniwersytetu ruskiego wydane będzie orędzie cesarskie, które przedtem znanem będzie tak polskim jak ruskim posłom i na które zapewne obie narodowości się zgodzą.

Parlament austryacki uchwalił ustawę urzędniczą t. zw. pragmatykę służbową Nastąpiły obrady nad prowizoryum budżetowem, które też 28 grudnia zostało przez parlament uchwalone.

Rokowania austro-serbskie. Między Austro Węgrami a Serbią rozpoczęły się już rokowania w sprawie rewizyi traktatu handlowego ze względu na znaczne rozszerzenie posiadłości Serbii po niedawnej wojnie. Austro Węgry żądają zniżenia cła na sprowadzany z Austryi do Serbii cukier, drzewo i szkło. W zamian za to ofiarują Serbii znaczne powiększenie ilości dowożonego bydła do Austryi.

Zmiany w Chorwacyi. Komisarz królewski w Chorwacyi Cuvaj, który po odjęciu konstytucyi krajowi sprawował tam samodzielne rządy, wyjechał na urlop. Pomimo zaprzeczeń węgierskiego prezydenta gabinetu Lukacsa i innych oświadczeń urzędowych stanowczo jednak utrzymują, że pójście na urlop Cuvaja, z którego więcej nie wróci, jest wstępem do powrotu stosunków konstytucyjnych w Chorwacyi i wnet nastąpi mianowanie nowego bana t. j. naczelnika kraju. W kołach parlamentarnych opowiadają, że powodem, dla którego Słoweńcy zaniechali obstrukcyi w komisyi budżetowej, było dane im zapewnienie, że stosunki konstytucyjne w Chorwacyi wnet będą przywrócone. Pisma węgierskie uważają barona Buriana, b. wspólnego ministra skarbu za najpoważniejszego kandydata na bana Chorwacyi.

O dalsze wywłaszczanie Polaków. Profesor niemieckiej akademii w Poznaniu, Buchholtz, domaga się w jednem z pism polakożerczych dalszego zastosowania wywłaszczenia. Buchholtz dowodzi, że poszczególne fakty wywłaszczenia drażnią tylko Polaków. Trzeba koniecznie wywłaszczenie stosować w całej rozciągłości. Zresztą, twierdzi bezczelnie ów wróg Polaków, że polscy właściciele ziemscy czekają tylko na to, aby zacząć ich wywłaszczać, odpadnie im bowiem przez to odpowiedzialność przed społeczeństwem polskiem, któreby się ich wyrzekło, gdyby dobrowolnie sprzedali ziemię na kolonizacyę niemiecką. Ogół Niemców nie podziela jednak tego zapatrywania, owszem kupcy i przemysłowcy niemieccy protestują przeciw dalszemu wywłaszczaniu, Polacy bowiem w odpowiedzi na wywłaszczanie nie kupują nic u Niemców.

Niewiara w reformy rosyjskie. Wiadomo, że wszelkie reformy w Rosyi w praktyce nigdy nie są wykonywane i istnieją przeważnie na papierze. Obecnie rosyjski prezydent ministrów w Dumie, Kokowcow, przyobiecał reformę policyi i ustawę o rozszerzeniu wolności osobistej. Gazety żartują sobie z tych obietnic pisząc, że dwie te ustawy będą zapewne połączone i oznaczać będą: rozszerzenie wol-

ności osobistej — policyi. To znaczy, że poddany rosyjski będzie dalej skrępowany, a policya jak przedtem tak i nadal postępować będzie samowładnie a może nawet i bardziej nadużywać swej władzy.

Niemiecki książę na tronie bułgarskim. Król Ferdynand jest, jak wiadomo, czystej krwi księciem niemieckim. Przed powołaniem go na tron bułgarski, był oficerem austryackim. Matka jego pochodziła z domu francuskiego Orleanów. Majątek odziedziczył po dziadku, magnacie węgierskim, księciu Kohari. Pierwsza żona jego, a matka wszystkich jego dzieci była księżniczką włoską z domu parmeńskiego. Druga żona a obecnie królowa, jest północno-niemiecką księżniczką z maleńkiego księstewka Reuss. Sam król Ferdynand jest katolikiem, żona jego luteranką, najstarszy z synów wyznania wschodnio-bułgarskiego, reszta zaś dzieci wyznania katolickiego. Król posługuje się na zewnątrz językiem bułgarskim, w domu jednak panującym językiem jest niemiecki, sympatye ma austryackie, urzędnikami dworskimi zaś są Belgijczycy. Słowem w pałacu w Sofii jest istna wieża babilońska narodowości, języków i wiar.

Straty Bułgarów w wojnie z Turcyą. Straty Bułgarów w dotychczasowej wojnie obliczają na 50.000 zabitych i rannych. Taką olbrzymią ilością poległych i rannych dzielnych żołnierzy i oficerów okupiła Bułgarya swoje zwycięztwo nad Turcyą.

Konferencye pokojowe w Londynie. Nie prędko zapewne będzie można mówić o rezultatach konferencyi pokojowych między przedstawicielami Turcyi a państw bałkańskich. Dopiero rokowania się rozpoczęły przedłożeniem warunków państw związkowych, które są dla Turcyi zbyt uciążliwe, zabierają jej bowiem wszystkie prawie posiadłości w Europie i miasto Adryanopol, którego Bułgarzy nie zdobyli. Turcya je więc odrzuciła, a nawzajem państwa bałkańskie odrzuciły propozycye tureckie, nie mogące zaspokoić zwycięzców. Zaczną się targi, które zapewne dopiero pośrednictwo mocarstw zakończy, starając się pogodzić wygórowane żądania zwycięzców i zbyt skąpe korzyści ofiarowane im przez Turcyę. Co do przyszłych granic rozszerzonych państw bałkańskich, to po zawarciu pokoju z Turcyą same one między sobą te sprawy załatwią, ale że nie pójdzie to gładko, to więcej niż pewna.

Prezydentura rzeczypospolitej francuskiej. Niebawem nastąpi zmiana na stanowisku naczelnika rzeczypospolitej francuskiej, gdyż dotychczasowemu prezydentowi, Falieresowi, kończą się lata władzy, przepisane ustawą. Obecny prezydent ministrów, Poincare, przyjął kandydaturę na prezydenta republiki francuskiej. Być może, że on otrzyma tę najwyższą godność w rzeczypospolitej.

Zamach na wicekróla Indyi. Dnia 23 grudnia, w chwili, gdy wicekról Indyi, lord Hardinge, odbywał uroczysty wjazd do Delhi, (nowej stolicy Indyi; przedtem stolicą było miasto Kalkuta) na słonia na którym lord jechał, rzucono bombę z dachu jednego z domów. Bomba wybuchnęła z wielką siłą, zabiła oficera i służącego, trzymającego parasol nad wicekrólem. Odłamki bomby zraniły lorda Hardinga w ramię. Pochód wstrzymano, ranionego wicekróla przewieziono samochodem do szpitala. Pochód ruszył dalej. Miejsce wicekróla zajął dyrektor oddziału skarbowego, Wilson. Policya okrążyła dom, z którego rzucono bombę. Sprawcy zamachu na razie nie ujęto. Małżonka lorda Hardinga odniosła ranę. Aresztowano kilka osób podejrzanych. Zamach na wicekróla t. j. namiestnika angielskiego w Indyach oznacza, że rośnie tam partya anarchistyczna, pragnąca obalić rządy angielskie w Indyach.

KRONIKA.

(P. P.) **Otwarcie czytelni i założenie Kółka rolniczego.** W Wiatowicach, w pow. bocheńskim, dnia 15 grudnia odbyło się uroczyste otwarcie czytelni. Przemawiali zachęcając do oświaty ksiądz katecheta Buda z parafii niegowieckiej, kierownik szkoły p. W. Niedojadło i p. Nawojowski. Młodzież szkolna odśpiewała pięknie patryotyczne pieśni. P. pocztmistrz z Niegowici wygłosił pouczającą przemowę z powodu nowozałożonego kółka rolniczego. Uroczystość zakończył jeden z gospodarzy, który w przemowie swojej w imieniu całej gminy złożył serdeczne podziękowanie mowcom, którzy na tę uroczystość przybyli, a przedewszystkiem kierownikowi szkoły p. W. Niedojadle, gdyż on położył duże zasługi około nowej czytelni i Kółka rolniczego.

(P. P.) **Śmierć pod lodem.** W Wiatowicach, w powiecie bocheńskim chłopiec piętnastoletni idąc ze sklepu zaczął się ślizgać po cienkim lodzie. Lód się załamał, a że staw jest głęboki i nie zaraz spostrzeżono wypadek, wydobyto chłopca zapóźno i nie zdołano go już do życia przywrócić.

Zebranie Kółek rolniczych. Z Niska piszą nam: D. 18 grudnia odbyło się zebranie Kółek rolniczych. Przewodniczył ks. kanonik Pycik z Pysznicy, sekretarzował inżynier Chmielewski. Referat o celach i zadaniach Kółek rolniczych wygłosił delegat zarządu Głównego Kółek rolniczych p. Kirschner. Na temat ten rozwinęła się dyskusya, w której głos zabierali ks. Sapecki, Grzegorzak, Bis, poczem udzielono absolutoryum wydziałowi ustępującemu, a wybrano nowy, złożony z 18 członków. Prezesem obrano p. Dra Olszewskiego, wiceprezesami pp. Reichla i Bisa z Racławic, sekretarzem p. Ćwiertnię, skarbnikiem inżyniera Chmielewskiego, a lustratorem ruchliwego i zasłużonego p. Leona Grzegorzaka.

Straszny wybuch prochu. Dnia 27 grudnia około godz. 3 po południu w budynku wojskowym, leżącym za Przemyślem, na drodze, prowadzącej do Mikulic, nastąpił gwałtowny wybuch prochu i patronów dynamitowych. Z robotników, zajętych wewnątrz, pięciu odniosło śmiertelne rany, z tych dwóch nie da się utrzymać przy życiu. Całe urządzenie wewnętrzne uległo zniszczeniu, również i budynek wykazuje poważne uszkodzenia. Budynek, który zniszczył wybuch, składa się z całego szeregu pokoi, oddzielonych od siebie, a służących do wyrobu ślepych patronów, kapsli, nabojów dynamitowych i prochowych itd. Jakkolwiek wewnątrz sale wysłane są kocami, a robotnicy pracują w papuciach, zachowując jak najdalej idącą ostrożność, wybuch spowodowany został prawdopodobnie brakiem uwagi i zbyt silnem uderzeniem kapsli.

Bułgarzy z Galicyi na polu bitwy. W Prałkowcach pod Przemyślem osiedli od kilku lat czterej bracia, Bułgarzy i oddali się ogrodnictwu, które przynosiło im duże zyski, bo sprzedawali towar dobry i tani. Trzech z nich, prócz najmłodszego, powołał rząd bułgarski na wojnę z Turkami. — Pojechali... i nie wrócą więcej, bo, podobno wszyscy trzej zginęli na placu boju.

Dobrze ukryty skarb. Chłopi ruscy w Woli Michowej, pod Sanokiem, cofnęli w obawie wojny oszczędności swe w kwocie 5000 kor. z kasy oszczędności w Sanoku, włożyli w blaszaną puszkę i ukryli potajemnie w kopule cerkwi wiejskiej. W tych dniach jednak, zajrzawszy do owej kryjówki, stwierdzili brak tak puszki jakoteż pieniędzy. Jeśli wiadomość powyższa nie jest przesadną, to jest dobrą nauką dla tych, którzy w nierozumnym popłochu wycofywali

swe oszczędności z kas, przed czem gazety nasze, a wśród nich i »Rola« tylokrotnie przestrzegały.

Niegodziwe świętokradztwo. W nocy na 24 grudnia popełniono kradzież przez włamanie się w kościele w Brzozdowcach, w powiecie bobreckim. Złoczyńca wyłamał drzwi za pomocą żelaznego drąga do zakrystyi i skradł monstrancyę wartości około 3500 kor., kielich wartości do 300 kor. Z zakrystyi sprawca dostał się do kościoła i z tabernakulum skradł dwie puszki, wartości do 500 koron, a Przenajświętszą Hostyę wysypał w tabernakulum; dalej rozbił dwie skarbonki i skradł złożone w nich ofiary. Administrator ks. Jan Berestecki na szczekanie psa wybiegł do kościoła, gdzie zastał wszystko poprzewracane. Że sprawcą tej zbrodni jest miejscowy złodziej, wskazuje pozostawiony żelazny drąg, którym zostały drzwi wyważone; drąg ten poznał kowal z sąsiedniej wsi, jaki swoją własność, skradzioną mu przed dwoma laty.

Czarna ospa. W Lewoczy, na Węgrzech, wybuchła epidemia czarnej ospy, zawleczona tam przez dezerterów tureckich.

Burze i śnieżyce. Ze wszystkich stron Niemiec nadchodzą wiadomości o burzach i śnieżycach, jakie szalały podczas świąt. Na Pomorzu panował silny orkan. Z Hawru donoszą o uszkodzeniach okrętów na morzu niemieckiem i o zerwaniu połączeń telefonicznych między Anglią a Francyą. Na wybrzeżu angielskiem wiele okrętów osiadło na mieliznie.

Pies pomocnikiem złodziei. W Kolonii, w Niemczech, aresztowała policya szajkę złodziei, której specyalnością było okradanie okien wystawowych. Kradzieży tych dokonywali pod opieką psa, którego tak wytresowano, że gdy pan jego był »przy pracy«, pies warczał za zbliżaniem się czyjemkolwiek i w ten sposób ostrzegał włamywacza. W rezultacie jednak pies zgubił swych panów.



W ostatnich czasach stwierdzono, że w pobliżu miejsc, w których dokonywano włamywań, na krótko przedtem zawsze widziano owego psa. Policya poczęła śledzić psa i jego właściciela i w ten sposób wpadła na trop szajki, którą całą — w ilości pięciu ludzi — aresztowano.

Wymówki pijaków. Pewien niemiecki lekarz zgromadził na podstawie długich badań ciekawy zbiór wymówek, używanych zwykle przez nałogowych pijaków na wytłómaczenie swego nałogu. — Wszyscy badani przez niego w szpitalach pijacy nałogowi twierdzili przedewszystkiem, że »prawie nic nie piją«. Hutnik oświadczył, że pić musi z powodu wielkiego gorąca. Murarz twierdził, że bez piwa żaden człowiek pracować nie może. Pewien student oświadczył, że pić musi, bo to podnosi swobodę i zresztą studenta Niemca niepijącego piwa wyobrazić sobie nie można. Piekarz pije, bo mu gorąco, a woda czyni słabym, stróż trupiarni, bo trupy cuchną, domokrążca, aby mógł ludzi lepiej oszukać itd.

Osobliwy pogrzeb. Chorobliwem uczuciem i wprost głupotą śmiało nazwać można przesadną czułość, okazywaną niekiedy zwierzętom. Jednym z przejawów takiego dziwactwa jest właśnie przedstawiony na naszym obrazku pogrzeb psa, urządzony niedawno w Berlinie przez pewną »psią rodzinę«.



Oto »dziadek« pieska pokojowego wiezie umieszczone w skrzynce na taczkach drogocenne zwłoki zdechłego czworonoga, dalej postępuje w smutku pogrążona »babcia«, wreszcie wujaszek i ciocia. Wszyscy podążają w zielone ustronie, gdzie odbyć się ma uroczystość pogrzebania zwłok psa.

Ucieczka... wisielca! Niezwykłe i zabawne przytem zajście zdarzyło się niedawno w jednem z miast niemieckich. Oto jeden z restauratorów tamtejszych udał się rano do leżącej w kącie podwórca szopy, aby oglądnąć świeżo przywiezione zapasy węgla. Kiedy otworzył drzwi, dostrzegł w głębi jakąś podejrzaną postać. Przystąpił bliżej i ujrzał młodego człowieka, wiszącego na belce. Opanowawszy pierwsze przerażenie, poskoczył ku niemu i nie namyślając się dłużej, odciął sznur przy pomocy przechodzącego przez podwórze kelnera. Ciało opadło bezwładnie na ziemię, nie zdradzając ani iskierki życia. Restaurator w towarzystwie chłopaka rozluźnił jeszcze pętlę, ściskającą szyję samobójcy, poczem wyszedł na ulicę i udał się do pobliskiego urzędu policyjnego, aby donieść o zajściu władzy. W chwilę później powrócił w towarzystwie komisarza i kilku policyantów, których poprowadził do szopy węglowej. Jakież jednak było jego zdziwienie, kiedy nie znalazł we wnętrzu nikogo. Wisielec zniknął bez śladu. Jak się zdaje »nieboszczyk«, pozostawiony bez nadzoru, ożył po zdjęciu go ze sznura i przyszedł na tyle do siebie, iż nie czekając na nikogo, ulotnił się pospiesznie.

Strach przed wojną w cyfrach. Jak donoszą pisma niemieckie, w portach niemieckich wzmógł się w ubiegłych tygodniach niesłychanie ruch wychodźczy. Według urzędowej statystyki, w listopadzie b. r. odpłynęło z Bremy 21.680 wychodźców, podczas gdy w ostatnich trzech latach w tym samym miesiącu było odjeżdżających tylko 12.408, 12.946 i 15.036. Od stycznia po koniec listopada tego roku odpłynęło z Bremy 189.907 wychodźców, gdy w roku 1911 131.882 a 173.857 w r. 1910. Podobny ruch panował i w Hamburgu. W listopadzie b. r. odpłynęło stąd 17.621 osób, gdy w 1911 roku 10.400. — W roku 1912 po koniec listopada odpłynęło z Hamburga 124.729 osób, a 79.309 w r. 1911. Większość wychodźców za powód porzucenia ojczyzny poda-

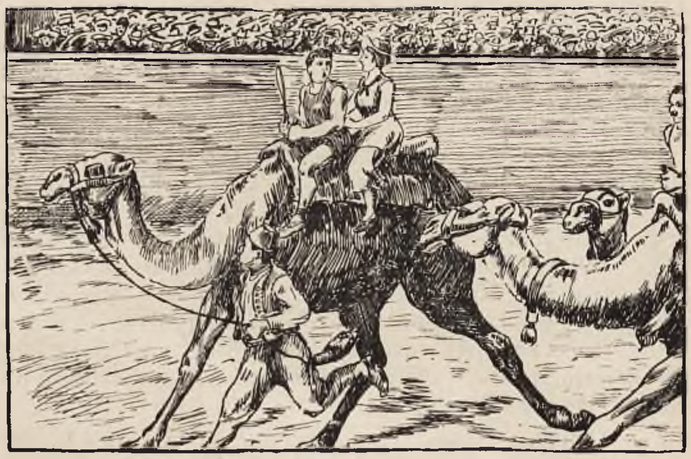
wała obawę przed wojną. Potężna fala emigrantów przepłynęła także przez Antwerpię. W listopadzie ubiegłego roku wsiadło tu na okręty 21.791 osób, w tem czwarta część pochodzących ze wschodnich prowincyi Niemiec. W roku 1911, w tym samym miesiącu, liczba wychodźców odpływających z Antwerpii wynosiła 18.049. Tak więc przez trzy te porty przesunęło się od stycznia po koniec listopada 1912 386 224 wychodźców, to jest o 130.930 więcej niżeli w roku 1911.

Śmiertelny strzał kłusownika. P. Zygmunt Hunicki, objeżdżając swój majątek Rogoźnik w pow. będzińskim w Królestwie Polskiem, zauważył w oddali dwóch podejrzanych mężczyzn, polujących na jego gruntach. P. Hunicki polecił woźnicy jechać w stronę polujących, lecz ci poczęli uciekać. P. Hunicki dopędził jednego z uciekających i chwytając go za plecy, powalił na ziemię, ale pośliznąwszy się sam, upadł. Z chwili tej skorzystał zbieg i wydobywszy broń, strzelił do p. Hunickiego, zabijając go na miejscu. Woźnica poskoczył do zabójcy i wyrwał mu broń, lecz zbrodniarz zdołał umknąć. Woźnica poznał w nim Jana Guta, mieszkańca wsi Simoń. Gut do domu nie wrócił; przypuszczają, że zbiegł za granicę. Ś. p. Zygmunt Hunicki osierocił żonę i dziecko.

Jezioro wódki. W Rosyi w przeciągu sześciu miesięcy r. 1912 wypito wódki 44 miliony wiader. To stanowi 550 milionów litrów, czyli 550.000 metrów sześciennych. Gdyby tę wódkę wylać do jednego dołu, to taki dół równałby się jezioru mniej więcej takich rozmiarów: 540 m. długości, 54 m. szerokości i 72 metry głębokości. Prawdziwe jezioro!

Ile kosztuje wojna? Doświadczenia przeszłości są podstawą do obliczeń kosztów dzisiejszej wojny. Doświadczenia te mówią, że wszelkie obliczenia jednak zawodzą, czego najlepszym przykładem wojna, którą prowadziła Anglia z Transvalem i Oranią w południowej Afryce. Koszty jej obliczył angielski minister wojny, wraz z ministrem skarbu na ćwierć miliarda koron, w przypuszczeniu, że wojna potrwa najdłużej pół roku. Tymczasem wojna trwała dwa i pół roku i kosztowała Anglię ponad 5 miliardów. Doświadczenia wojny rosyjsko-japońskiej, która Rosyę kosztowała miesięcznie 170, Japonię zaś 140 milionów, nie mogą być podstawą do obliczeń kosztów wojny w Europie, z powodu bowiem niezwykle wielkich kosztów transportu, ogromnych różnic sił zbrojnych państw w początkach wojny, nie można wypośrodkować przeciętnej cyfry, któraby wyrażała kos ty wojenne, rozłożone na każdy dzień z osobna i na każdego żołnierza. Podstawą mogłaby być chyba wojna francusko-niemiecka, w której jeden żołnierz kosztował 6 koron dziennie. Drożej kosztowała wojna rosyjsko-turecka, w której żołnierz rosyjski pochłaniał dziennie 10 koron. Przyjąć więc można, że dzisiejsza wojna europejska wymagałaby na każdego żołnierza co najmniej 8 kor. dziennie, wliczając w to i koszty mobilizacyi. Siła armij, które należy wystawić, zależy od danych warunków. Podczas gdy na wypadek wojny z mniejszem jakiemś państwem wystarczy zmobilizować tylko część całej siły zbrojnej, wojna z równorzędnem mocarstwem wymaga użycia sił wszystkich, powołania pod broń wszystkich rezerw. Przy dłużej trwającej kampanii liczba armii, wysłanej w pole, zwiększa się znacznie I tak n. p. w roku 1870/1 armia niemiecka wynosiła początkowo 384.000 żołnierzy, w czasie zaś od 1 sierpnia 1870 po koniec marca 1871 jeden i ćwierć miliona.

Wyścigi na wielbłądach. W Paryżu odbywają się od pewnego czasu niezwykłe wyścigi. Mianowicie na placach na których odbywa się nauka jazdy konnej, zaczęto jeździć na wielbłądach.



Ludzie mający pieniądze na taką zabawę biorą także udział w wyścigach na wielbłądach, przyczem rozgrywają się między patrzącymi zakłady, który wielbłąd pierwej przybiegnie do mety.

Pięć minut żonaty. Niezwykły wypadek wydarzył się niedawno w Porowie, miejscowości leżącej niedaleko Bukaresztu w Rumunii. Kapitan wojsk rumuńskich, Konstantyn Mitru, pokochał śliczną dziewczynę, córkę ubogiej wdowy po rzeźbiarzu, żyjącą wraz z matką staruszką w wielkim niedostatku. Rodzina kapitana, mająca inne plany dla niego, była od początku przeciwną temu małżeństwu. Gdy perswazye i namowy nie odniosły żadnego skutku, czyniła rodzina energiczne starania u władz wojskowych, aby nie dopuścić do małżeństwa, bezskutecznie jednak, gdyż narzeczonej, oprócz ubóstwa, nic nie można było zarzucić. Ostatecznie więc oficer przeprowadził swoją wolę i stanął z ukochaną dziewczyną u stóp ołtarza w Porowie. Zaślubiny odbyły się wobec najbliższej rodziny panny młodej, koledzy bowiem kapitana i jego rodzina odsunęli się od udziału w uroczystości. W kilka minut po ukończeniu ceremonii kościelnej oficer ucałował przed ołtarzem swą nowo zaślubioną żonę, skłonił się obecnym, poczem postąpił kilka kroków na bok i tutaj — zanim obecni spostrzegli się — zastrzelił się w oczach wszystkich. Bez życia padł na ziemię, będąc zaledwie pięć minut żonatym.

Wychodźtwo do Parany. W ostatnich czasach wzmógł się znacznie ruch wychodźczy do Stanu Parana, w Brazylii. Wobec tego jednakże, że wymiar oraz rozdział gruntów w Paranie nie jest w stanie dorównać wzmagającej się liczbie nowo przybywających kolonistów, zmuszeni są ci ostatni przebywać czasowo w schroniskach dla emigrantów lub w prowizorycznych barakach, postawionych w niektórych koloniach. I tak setki rodzin zmuszone są oczekiwać w tych schroniskach nieraz całymi miesiącami, nim zostaną dla nich odmierzone nowe grunty. Długi pobyt w prowizorycznych schroniskach powoduje naturalnie, oprócz innych z przepełnienia tych schronisk i baraków wynikających niedogodności, także i stratę zarobku wskutek marnowania czasu roboczego. Te wyżej przytoczone trudności spowodowały rząd brazylijski na razie do znacznego ograniczenia wychodźtwa do Stanu Parany. Wychodźcy, którzy zamierzają osiedlić się w Paranie, nie mogą przeto na to liczyć, że w jednej z kolonij tego Stanu będą mogli nabyć grunty, lecz raczej winni być przygotowani na to, że po bezowocnem długiem czekaniu będą zmuszeni osiedlić się gdzieindziej.

Na dnie okrętu. Niedawno zawinął do jednego z portów Ameryki południowej parowiec »Laura«. Kiedy zabrano się do wyładowania okrętu, znaleziono niespodzianie w oddziale towarowym statku dwóch młodych chłopców w stanie ostatecznego wyczerpania. Po przyprowadzeniu ich do przytomności i nakarmieniu wysłuchano ich opowiadania.



Oto przed opuszczeniem portu w Hamburgu przez »Laurę« wśliznęli się obaj na statek i ukryli wśród licznych pak z towarami, aby w ten sposób odbyć bezpłatnie podróż do Ameryki południowej. Podczas 25 dniowej podróży przeżyli obaj niewypowiedziane męki głodowe. Przez pierwsze trzy dni odżywiali się zapasami, które wzięli z sobą; później żyli tylko... cukrem i piwem, z tych bowiem artykułów składał się ładunek okrętu. Obu chłopców odstawiono do miejscowego szpitala.

Opiekun najnieszczęśliwszych. Na jednej z wysp Hawajskich, leżących na środku drogi morskiej między Ameryką, Australią i Japonią, a stanowiących posiadłość Stanów Zjednoczonych, zmarł tam na wyspie, przeznaczonej dla trędowatych, ks. Józef Dutton. Nazywał się on w rzeczywistości Ira Burnes Dutton i pochodził z bardzo szanowanej rodziny protestanckiej w Stanach Zjednoczonych. — W młodym wieku służył wojskowo, brał udział w wojnie Stanów północnych z południowemi i dosłużył się stopnia kapitana, później zaś był urzędnikiem w służbie kolejowej. Naraz porzucił posadę i przeszedłszy na katolicyzm, wstąpił do klasztoru. Zaznajomiwszy się z życiem O. Damiana, pełnego poświęcenia opiekuna trędowatych, udał się na »wyspę nędzy«, gdzie O. Damian sam już chory, mianował go swoim następcą. Przez 25 lat pełnił ks. Dutton ciężką służbę, pocieszając trędowatych, pielęgnując ich i obmywając ich rany. Ze szczególną miłością opiekował się dziećmi, które, dotknięte straszną chorobą, porywano z domu rodzicielskiego i przewożono na tę wyspę, gdzie prócz cierpień trapiła je tęsknota. Po 25 latach takiego życia zmarł wreszcie cichy ten bohater, sam trądem dotknięty.

Gdzie najwięcej czytają książek? Z niesłychaną namiętnością czytają książki ludzie w Australii. Niema miasteczka, wsi najdrobniejszej, żeby nie było w niej czytelni. A stołeczne miasta otrzymują na koszt rządu bezpłatne biblioteki publiczne, którym Rady miejskie miejscowe uchwalają zasiłki na uzupełnienie zakupu książek. Ogromnie rozpowszechniony jest typ bibliotek rozsyłających książki na prowincyę. W najbardziej zapadłe kąty wysyła się komplety 300-tomowe książek najpoczytniejszych, które corocznie wymienia się na nowe. Ludność miejska korzysta z czytelni przy szkołach. Jest między innemi w mieście Melbourne księgarnia, podziwu godna. Przewija się w niej codzień tysiące ludzi. Księgarnia ma obroty tak wielkie, jak żadna inna księgarnia Europy i Ameryki.

Żart na czasie. Miał chłop w banku pieniądze. Że groziła wojna — Kazała mu je podnieść baba niespokojna, — Usłuchał, bo tak nawykł. Grosz wyjąwszy z kasy, — Wstąpił na »kubek« rumu i kawał kiełbasy, — A spotkawszy przyjaciół, tak się wnet ululał, — Że prawie co do grosza pieniądze przehulał, — I tak, zanim do kraju obce przyszły wojska — Chłopa miast wojny zżarła — ot, głupota swojska.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Józef Kapuściński w L.: Trudno nam w całym stosie rękopisów wyszukiwać i wyliczać, które z Pańskich posiadamy. Żądany adres brzmi: Nowa wieś p. Czudec. »Kilka słów o »Roli« nie możemy drukować, gdyż obliczenia, jakkolwiek często trafnie obliczone, nie zgadzają się w całości z prawdą. »Rola« znacznie więcej pociąga za sobą wydatków — dość powiedzieć, że numera z całego roku kosztują nas dla jednego prenumeratora około 7 koron. Ogłoszenia pokrywają częściowo niedobór. Za miłe słowa dziękujemy i łączymy pozdrowienia. — S. Ke-zim w G.: Nadesłane wiersze nie nadają się do druku z powodu pewnych braków. — Jęd. Jędrusik w K.: Na kredyt nie wysyłamy, gdyż to przyczynia wiele pracy. — St. Czaja w Szcz.: Zawiera dawne i nowe. Zagadki, gdy miejsce będzie, będą. — Franciszek Adamski w B.: Utwór będzie drukowany. Za słowa uznania serdeczne dzięki. — Jerzy Klaisek w K.: Pochwała Kalendarza szczerze nas ucieszyła. Łączymy pozdrowienia. Ludwik Lempart w Z.: »Baby« nie mają się czego bać wojny, gdyż one ciągle są do niej przyzwyczajone. »Praca« jest dobrem pismem dla wychodźców, gdyż daje im wskazówki, jak mają postępować na obczyźnie.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 31 grudnia

Pszenica	Kor.	10·10	do	10·50	za 50 kg.
Żyto	"	9·65	"	10·05	"
Jęczmień	"	9.—	"	9·60	"
Owies	"	9·70	"	10·10	"
Otręby pszenne	"	6·75	"	6·85	"
Otręby żytnie	"	6·70	"	6·85	"

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 31 grudnia:

Buhaje	Kor.	112	do	300	za sztukę
Woły	"	300	"	400	"
Krowy	"	136	"	300	"
Jałówki	"	100	"	190	"
Cielęta	"	28	"	70	"
Owce i kozy	"	17		20	"
Świnie bita waga)		144		152	za 50 kg.

Prosimy najusilniej przy przesyłaniu prenumeraty pisać wyraźnie imię, nazwisko, miejsce zamieszkania i pocztę.

Potwierdzenia prenumeraty.

Nowak Stan. z P. 1 K., Trusz Jan z J. 2 K., Mazur Marcin z S. 1 K., Klęsk Wojciech z M 2·50 K., Pozdał Jan z J. S. 1·40 K., Modura Paweł z J. S. 2 K., Małek Wojc. z C. 2 K., Zawada Wojc. z T. N. 1 K., Klus Józef z K. 2 K., Żurawski Józef z N. 2·50 K., Surówka Ignacy z M. 1 K., Tokarzewska Zofia z R. 2·50 K., Moch Józef z N. 2·50 K., Bochnak Marcin z R. 2 K., Goleń Wiktorya (córka Jana) z S. 2·50 K., Koziarz Wojciech z S. 2·50 K., Karwat Franc. z P. 2 K., Górak Michał z G. 2·50 K., Trytko Józef z W. R. 2 K., Kapera W. z K. L. 1·60 K., Trzyk Ignacy z Ż. 1·80 K., Bachalski Jan z Cz. M. 3 K., Józef Łęczycki z Z. 1 K., Hmieł Jakób z C. (Rumunia) 2·50 K., Boroń Zofia z P. C. 1 K., Depa Tomasz z S 2·50 K., Migała Balbina z Z. 2 K., Cebrat Jan z B. 2 K., Kołodziej Franciszek z P. 2·50 K., Drozd Fr. z L. 1 K., Tkaczyk Tomasz z U. 2 K., Gałuszka Fr. z S. K. 1·50 K., Nowak Józef z W. 2·60 K., Szymczyk Stanisław z B. 2·50 K., Zawiła Jan z B. 2 K., Nowak Fr. z K. 1·50 K., Lempart Ludwik z Z. 2·60 K.,

Wrona Jan z B. 2 K., Zemlik Fr. z M. 2 K., Zuch Fr. z G. 2 K., Królczyk Emanuel z J. 1 K., Czytelnia pol. z D. 1 K., Paśko Tomasz z B. 2·50 K., Żuraw Michał z Ł. 2·50 K., Waśko Michał z Ł. 2·50 K. Brysk St. z S. 2·60 K., Zięba Wojciech z T. 2 K., Zawada Michał z O. 2 K., Jurasz Wojciech z T. 2 K., Pagacz Marek z S. 1·50 K., Stesłowicz Dominik z W. 1 K., Stypułowa Karolina z T. D. 1 K., Łabaj Jan z S 2 K., Gumola Jan z R. 2 K., Szteffek Jan z Ł. 1 K.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożyła Z. O.)

Trzecia z pierwszą masz, gdy kupisz towar [nie drogi,
Zwłaszcza, że teraz każdy ubogi,
Druga z trzecią wodzów ozdoba,
Wszystko nazwa tego, co pierwszy strzelił, [nim minęła doba.

2. SZARADA.

(Ułożył Paweł Wieczorek).

Zgłosek aż ośm, lecz łatwa zagadka:
Pierwsze do dziecka zwykle mówi matka,
Piątem znów dziecko rodzicielkę wita,
A podwojonem o tatusia pyta.
Siódme z piątem w czasie żniwa
Pola i łąki wśród słoty skrywa.
W siódmem i drugiem siedział święty Jan,
Skąd wyszedł cało, żywy i bez ran.
Trzecie to czynność, która w każdy dzień
Spełniam ja, Wy, Maciek Bzdura, nawet leń!
Pierwsze plus drugie i trzecie
W jasełkach Rydla na pewno znajdziecie.
Szóste bez pierwszej litery
W ręce malarza zaczernia litery
Lub, gdy pod zimny człowiek ciepły stanie,
Krzyczy sromotnie i dreszczy dostanie.
Ósme z siódmem część pokoju,
Gdzie spoczywa człek po znoju.
Siódme i drugie bez »te«, a trzecie bez »em«
Każdy z was widział, o tem dobrze wiem!
Całość: dwa słowa, dziś na wszystkich ustach,
Pełno ich w pieśniach, po polach i chrustach.

3. SZARADA.

(Ułożyła M. Augustowska).

Pierwsze z drugiem także trzecie
Rzadko z ust wyjdzie kobiecie.
Pierwsze się często przy wozie spotyka,
Drugie i trzecie dla ucznia, co bryka.
Pierwsze znów z trzeciem tytuł dzieła mamy,
Zna go napewne człowiek oczytany.
Trzeciem i drugiem drużba na weselu
Głośny, choć w tłumie znajduje się wielu.
Z czwartem i drugiem już się dziecko rodzi,
Choć z trochę większem i staruszek chodzi.
Dzwarte z przydawką, gdy w pierwszym przy- [padku,
Uczniowi znane, który niema statku.
Połówka drugiego plus trzecie i czwarte
Nazwisko męża wspomnienia warte.
Całość: dygnitarz na początku drogi,
Gdy mu sie w życiu nie pośliźgną nogi...

4. ŁAMIGŁÓWKA sylabowa.

(Ułożyła M. Augustowska).

Czy-ste-świ-nie-gień-ta-ta-du-da-pa-sie-je-bi-dzie; z-kim-ku-ła? o-każ-mi-ta-ta-na-łu-cy-je-o-dy, co-wy-ku je, o bło-wi-tak-ma; pa-dnie-wśród-czy-nie? skąd-w no-rze-do-ją-ku-py?

Z powyższych zgłosek ułożyć jedną ze zwrotek powszechnie znanej kolędy.

5. SZARADA.

(Ułożył W. Łukasik).

Drugie? Osoba koronowana
Trzecia i pierwsza; wszak postać znana.
Całość umila po pracy życie,
Czy nazwę całą wszyscy powiecie?

6. TAJEMNICZY BILET.

(Ułożyła B. Moroniówna).

CECYLIA AZNUK

Odgadnąć zawód tej osoby.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 20 grudnia 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.